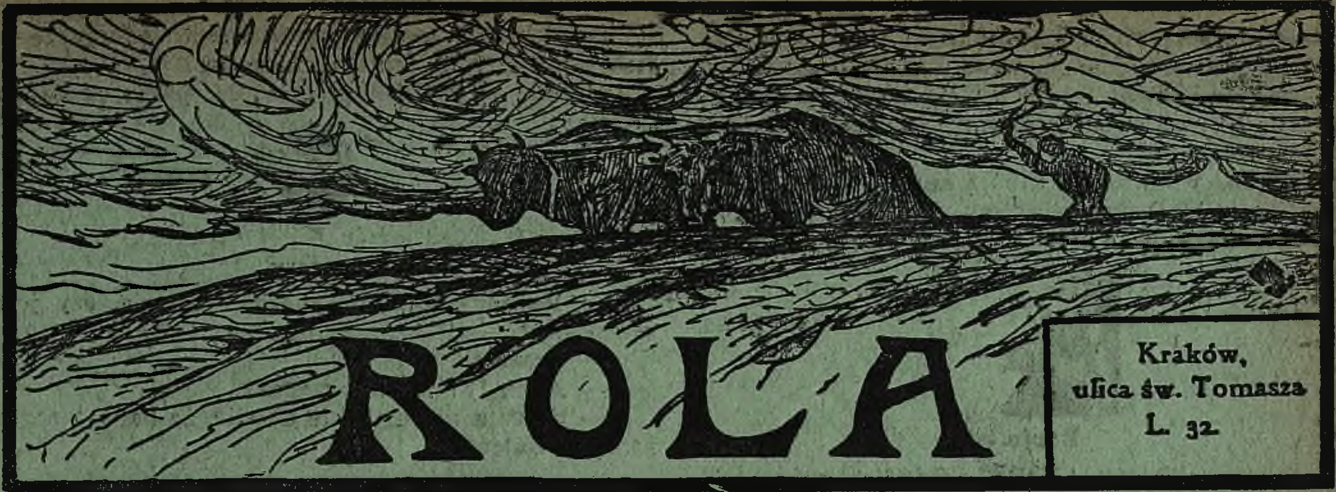
Numer 26. Należ. poczt. opł. gotówką. **Dnia 26 Czerwca 1932**



ROLA

Kraków, ulica św. Tomasza L. 32.

ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

Śpiew i muzyka.

Mimo różnych niedomogów życiowych, człowiek chętnie słucha śpiewu lub muzyki, a wielu młodych pragnie uczestniczyć w wykonaniu słyszanych melodyj. To też wielu ludzi obdarzonych słuchem muzycznym, rwie się do nauki gry na instrumencie najwięcej mu odpowiadającym. Niestety często z braku czy to sposobności czy też funduszów, ograniczyć się muszą do naśladowania melodyj zasłyszanych, gdyż nie mieli i nie mają możności poznania sztuki nut, — niektórzy znowu posiadający zapomniane początki, — znajdują się w tem samem co i pierwsi położeniu.

Zwrócić wypada uwagę na podręcznik wydany przez jednego z amatorów muzycznych, służący jako samouk do nauki gry na skrzypcach i to bez pomocy nauczyciela, obejmujący praktyczne ćwiczenia i wyczerpujące objaśnienia wraz z ilustracją t. zw. palcówek a z zestawienia klucza wiolinowego z kluczem basowym i altowym, znajdującego się przy końcu samouka, każdy obeznany z zastosowaniem nut na skrzypcach, potrafi się zorjentować ze zastosowaniem ich na dalszych instrumentach smyczkowych, t. j. na altówce, basetli i basie.

Przystępna cena samouka 6 zł. udostępnia każdemu możność nauczenia się gry na wymienionych instrumentach.

Wysyła za pobraniem pocztowem wydawca Piotr Woltal w Bochni.

Wszystkie zaległe numera „Roli" od Nowego Roku posiadamy w zapasie.

Utknął.

Pewien szlachcic, chcąc okazać swą erudycję, rozpoczął przemówienie na weselu w ten sposób:

— Juno z Palladą — ale tak się zaciął, że, powtarzając raz i drugi te same słowa, nie umiał dalej ani słowa wydobyć.

Wówczas wyrwał się ktoś z kąta:

— Juno z Palladą, wsiadłszy na gniadą, tak jadą, tak jadą, a ty stoisz.



Racja.

Właściciel sklepu zwraca uwagę ekspedjentce, która coś ostro odpowiedziała klientce.

— Proszę pamiętać, że nasi klienci mają zawsze rację.

— Tak? Ta pani powiedziała właśnie, że my jesteśmy złodziejską firmą.



Ogłoszenia rozsypane w druku.

Zdolny nauczyciel, 32 mtr. długi, 22 mtr. szeroki, kryty dachówką, poruszany parą wodną, do rozkładania z powodu śmierci w części lub w całości do sprzedania.

Młoda kucharka z żaglowego płótna stojąca na żelaznej podstawie, bijąca kwadranse i godziny, zaraz do wynajęcia.

Pluszowa kanapa 15-tej miary, z dobrym chodem z podwójnemi drzwiczkami, o 10 frontowych oknach, 10 lat wolna od podatku, pisząca na maszynie, z fachowem wykształceniem, poszukuje towarzysza życia.

Rozwiązał zadanie.

Nauczyciel: — Jakbyś podzielił jedenaście śliwek pomiędzy dwunastu chłopców?

Uczeń: — Zrobiłbym powidła, panie profesorze.



Szczery.

— Powiedz mi, mój mężu, otwarcie, czy jesteś zazdrosny?

— Czasem.

— A kiedy? Mów szczerze?

— Bywają nieraz takie chwile, że bardzo zazdroszczę kawalerom.



Oj, te dzieci.

Konkurent do ręki: — Ach, panno Helciu, jakie pani masz cudowne usteczka.

Mały braciszek Jaś: — A widzisz? A tato to zawsze mówi, że Helcia ma pysk od ucha do ucha.



Mądre Jojne.

— Powiedz mi Jojne, gdzie siedzi rozum?

— On wcale nie siedzi.

— No to, co on robi? gdzie jest?

— On sobie chodzi za interesami.

— A to dlaczego?

— Bo jakby on tylko siedział, toby nie był rozum.

Numer 26. Rok XV. Kraków, dnia 26 czerwca 1932.

ROLA

Kraków, ulica św. Tomasza L. 32.

ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

Prenumerata na rok 1932: Rocznie 12 zł, półrocznie 6·50 zł, kwartalnie 3·40 zł; do Czechosłowacji rocznie 50 koron cz., półrocznie 27 kor. cz., kwartalnie 15 kor. cz.; do Francji rocznie 60 franków fr., półrocznie 30 fr., kwartalnie 15 fr. — Do Ameryki rocznie 2 i pół dolara. — Numer pojedynczy we wszystkich agencjach i w Administracji »Roli« 30 groszy
Adres na listy do Redakcji i Administracji »Roli« **Kraków, ulica św. Tomasza 32.**

Konto pocztowe w Polsce: Kraków P. K. O. 406.301. Konto pocztowe w Czechosłowacji: Praga Poczt. Urząd Czekowy 500.868.

Czar nocy świętojańskiej

Noc z 23 na 24 czerwca, stanowiąca zrównanie dnia z nocą, jest wigilją dnia święta Jana Chrzciciela. Noc świętojańska przywodzi nam na pamięć postać tego świętego męczennika, oraz tradycyjne uroczystości i obyczaje ludu naszego w dzień tego święta.

Już Durandus, pisarz XIII stulecia, oświadcza, że we wszystkich krajach do dnia 24 czerwca przywiązane są różne podania i obyczaje. Czasem wiążące się ze staremi obchodami pogańskiemi, które barwnie przedstawił Józef Ignacy Kraszewski w powieści „Stara baśń“ jako „Noc Kupały“. Zwyczaj ten tłumaczy się chęcią uczczenia słońca jako źródła ciepła i światła, królującego najdłużej w tym właśnie dniu, jako t. zw. przesilenie dnia z nocą.

Po wprowadzeniu chrześcijaństwa, Słowianie przystosowali swoje obyczaje do świąt kościelnych, a nazwa „Sobótka“ przywiązana do ogni, które pali się w noc świętojańską — pochodzi od dnia sobotniego, gdy pracujący mogli noc poświęcić na zabawach.

Znakomity poeta polski J .Kochanowski w swoim utworze: „Pieśń Świętojańska w Sobótce“, daje piękny obraz tego odwiecznego zwyczaju:

„Sobótkę, jako czas niesie
Zapalono w Czarnym lesie“.

Ksiądz Kitowicz w swoich pamiętnikach z czasów króla Augusta III pisze, że zwyczaj ten jest: „złe skutki sprawujący, już to w pożarach budynków, już to w osobach skaczących, które już nieraz przy gęstym dymie upadały osobliwie, kiedy chłopcy klucze prochem nabijane, lub ładunki z prochem niebacznie w ogień rzucali“.

U Mazurów nadnarwiańskich był nawet zwyczaj, że podejrzywano o czary kobiety, któreby na zapalenie „kupalnocki“ nie poszły. Rzucano tam w ogień różne zioła i nadpalone umieszczano jako dobrą wróżbę w chatach i budynkach gospodarskich. — O północy zaś rzucano wieniec do strumienia.

W Małopolsce w noc świętojańską, gdy się ściemni na polach i wzgórzach, układają stos chrustu i przed zapaleniem go, obchodzą dokoła niego z pochodniami, poczem zapalają go i przy dźwiękach muzyki tańczą i skaczą przez niego. W noc świętojańską dziewczęta rzucają na wodę wianki uwite z ruty, mirtu lub z rozmarynu. Jeżeli wianek zatonie, to zła wróżba, jeżeli nikt go nie chwyci, to dziewczynę czeka jeszcze rok panieństwa. Jeżeli wianek schwyci chłopiec, to dziewczyna w tym roku wyjdzie zamąż. W niektórych okolicach wianki puszczają wraz z zapalonemi świecami. Jeżeli chłopiec schwycił wianek ze świecą, a świeca mu zgasła, to była wróżba śmierci lub starokawalerstwa.

Z nocą z dnia 23 na 24 czerwca związana jest także legenda o czarodziejskim kwiecie paproci, który ma zakwitać raz tylko w roku o północy, kiedy następuje przesilenie nocy z dniem. Ma to niejako oznaczać zwycięstwo słońca. Ten, kto wybiera się po ten czarodziejski kwiat, powinien się opasać bylicą, która uważana jest za czarodziejskie ziele.

Poeci niejednokrotnie tworzyli różne opowieści o tym cudownym kwiecie paproci. Jedna z opowieści głosi, że kwiat ten został zerwany przez dziecko, które znikło w tę noc, a później płatek tego kwiatu dostał się przypadkiem do buta poczciwego włościanina, który pod wpływem cudownego kwiecia posiadł wiedzę czarnoksięską i skarby w ziemi ukryte. Trwało to jednak krótko, ponieważ płatek kwiatu wypadł z buta i kmiotek zapomniał o przeżywanych czarownych chwilach.

Dytmar, biskup mersemburski, który żył 1.000 lat temu, wspomina, że w górach na Górnym Śląsku, sobótka była uważana za świętą i na niej zapalano ognie. Badacze później znaleźli tam ślady ołtarzów pogańskich.

Znawcy starego języka słowiańskiego twierdzą, że słowo „Kupała“ dla oznaczenia uroczystości świętojańskich powstało dopiero pod wpływem kultu do świętego Jana Chrzciciela. Na Białorusi w dzień „Kupały“ ubierają kwiatami na wsi jedną z dziewcząt, zawiązują jej oczy i tańczą dokoła niej, uwieńczona rozdaje zebranym podarki, przyczem czynione są różne wróżby.

W tej uroczystości nocy świętojańskiej związane są starożytne zwyczaje i podania pogańskie na równi z uroczystościami przypadającemi w dzień ten ku czci świętego Jana Chrzciciela.

Jan Liwosz.

BOLESŁAWITA.

Boża Opieka.

Powieść z XVIII wieku.

(Ciąg dalszy)

Chłopak umilkł.

— Było znieść! — westchnęła Hruzdzina — a nie rwać się na pańskie dziecko, a nie zapominać, co on, a co my. Cóż teraz począć? Stary Hruzda do chaty cię nie przyjmie, będzie się bał i do dworu odprowadzi. Jak się na ich ręce dostaniesz, to cię śmiertelnie skatują. Co ja pocznę, co ty poczniesz! A! Janek, Janek!

— A! Matuś, nie lamentujcież — przerwało chłopię ściskając ją za nogi. Jakbyście wy jeszcze za mnie cierpieć mieli, wolałbym się im sam zaraz w ręce oddać, przecie mnie na śmierć nie ubiczują. Osieką starsi, to zniosę, przeciw sile niema rady, tylko od tego malca nie mogłem ścierpieć, aby nademną przewodził.

— Ja znam ich, — litości mieć nie będą! — rzekła stara, — a! co ja tu pocznę! co pocznę! Tobie się we wsi nie pokazywać. Słuchaj Janek, niema rady, do jutra przynajmniej kędyś schować się trzeba. — Jutro zobaczymy i pomyślimy. Na chatę biedy naprowadzać nie można, Hruzda by mi nie dał spokoju; chyba w polu przenocujesz, a noc zimna.

— O! wielka rzecz! — rozśmiał się Janek — albo to pierwszyzna... w rów się wcisnę...

— A i sukmanki nie masz, to zmarzniesz — rzekła Hruzdzina, zdejmując powoli przyodziewek, który na siebie narzuciła była w domu wychodząc...

— Weź to, weź; ja do chaty dojdę i tak, stary się nie postrzeże, okryjesz się, będzie ci lepiej; nie przyznam się nawet, żem cię widziała, no — a jutro — jutro... trzeba rady i natchnienia Bożego czekać...

— Nie, nie — odparł Janek — już okrycia to nie wezmę, jak Bóg miły nie. Noc mi nie straszna. Znajdę stóg siana, albo słomę na polu, wkręcę się we środek, i będzie mi jak w puchu.

— Ale co jutro! co jutro — lamentowała staruszka — ja tych ludzi znam; pan tak łatwo nie przebaczy, a choćby ci zwolniał, to jejmość za dziecko jedyne będzie go do pomsty namawiała... Skatują cię i skaleczą, nie — nie! ja cię nie dam na ręce katowskie... ale cóż począć — co począć?

Janek westchnął:

— Ponoś mi stąd trzeba będzie iść, — szepnął — aleć wola Boża. Samiście mówili, żem ja nie tutejszy, nie ich poddany, prawa do mnie żadnego nie mają.

— A! tak, święta prawda — przerwała kobieta — oni nie, alem ja cię od maleńkości wychowała, i byłeś mi jak dziecko rodzone, gdy Bóg własnych nie dał dzieci... Ja do ciebie prawo mam... I cóż mi z niego? co mi z niego?

— Moja matuś — zawołał Janek — albo to ja choć oddalony wasz nie będę? albo to ja zapomnieć kiedy potrafię, com wam winien?...

— Co mi z tego, gdy cię oczy nie będą widziały — mówiła stara. — Myślałam sobie zawsze: My dzieci nie mamy, krewnych nie mamy bliskich, to kiedyś i stary byłby — choć nie lubił cudzego dziecka — przyszedł do mej myśli, i bylibyśmy ci grunt oddali, i byłbyś mi oczy zamknął. A teraz...

Stara zapłakała.

— Nie — rzekła, wstając — o sobie myśleć nie godzi się, jutro o nas i losie naszym postanowimy. Weź sukmanę.

— Nie wezmę — zawołał Janek, całując w rękę Hruzdzinę, — ino gdzie mi być każecie?

— Sukmanę weź, jam trzy kroki od domu, a noc zimna — nalegała stara.

— Matuś, nie mogę; jam młody, mnie krew grzeje, a wam po nocy wracać, tobyście kaszlu waszego nabrali.

— Mieć ja go i tak będę z samego płaczu — rzekła stara. — Ano słuchaj niedobry chłopcze: — We dniu ci się nie pokazywać. Idź do drugiej wioski, niby za owcą przepadłą. Znasz na drugim prądniku kumę Malichowę; powiedz jej wszystko, oni cię przytulą, a o mroku ja tam będę.

Noc była już, jak na wsi późna; stara pocałowała chłopca w głowę, westchnęła i poszła, a Janek jeszcze ją do opłotków miedzą przeprowadził, aby się nie bała, i pocałowawszy w rękę, gdy go żegnać chciała, rzucając mu sukmanę, nie wziąwszy jej, zniknął.

3. Nieznany kuternoga.

Głupi Janek, gdyż tak go powszechnie we wsi zwano, miał, gdy się to działo, lat trzynaście, a od dziewięciu już wychowywał się u Hruzdów. Dziecko było sierotą i zupełnie nieznanych rodziców; dziwnym też sposobem dostało się do chaty, której gospodarze dobrowolnie je przyjęli i prawie za własne przysposobili. Osobliwie stara Hruzdzina, która miała tylko jednego synka, a ten jej zmarł w pieluchach, znalazłszy w Janku przypomnienie utraconej dzieciny, przywiązała się do niej z prawdziwie macierzyńską czułością.

Dziewięć lat temu jednego wieczora stary Hruzda powracał z Krakowa po piekielnej drodze jesiennej, długiemi deszczami rozbitej i grząskiej, gdy nieco opodal od chaty swej na gościńcu spostrzegł wózek, który ze złamaną osią leżał pochylony na bok. Chodził około niego mężczyzna jakiś i lamentował a klął na przemiany.

— A! bodaj z piekła nie wylazł, kto tę oś robił i kuł; bodaj go siarczyste, bodaj zczezł, zmarniał jucha, niegodziwiec; przeklęty wóz, we złą godzinę kupiony...

— Cóż to się stało? — spytał, zbliżając się Hruzda.

— Albo to nie widzisz? ślepyś! co! oś mi trzasła... gdzieś baba drogę przeszła, dzień feralny, a tu noc i gościniec, jakby prowadził do piekła.

— A gdzież woźnica? — rzekł Hruzda — czy go jegomość posłał?

— Nie posłałem, bo go nie mam; jam sam pan, sam woźnica; nie lubię, aby mnie kto pilnował, nie mam nikogo.

— A zdaleka to jegomość? — szepnął gospodarz.

— Ot! patrzcie go! będziesz mnie brał na spytki; a co ci do tego? Chcesz pomódz, to Bóg zapłać, a nie, daj mi pokój święty i ruszaj w swoją drogę.

Hruzdzie się go żal zrobiło; para koni tęgich po kostki stała w grzęzkiej kałuży, sam pan brodził w niej, chodząc wkoło i nie wiedząc znać, co począć.

— Wiesz jegomość co? — rzekł — wyprzężmy konie; tu niedaleko mój chlewek i stajenka, rzeczy z wózka zabierzemy, a wóz do jutra trzeba zostawić, bo mu po nocy rady nie damy. Oś się do dnia podprawi i pojedziecie, a u mnie w chacie na stole, czy na ławie, czy na sianie w izbie, spoczniecie.

Szlachcic milczał i dumał, pocichu wszakże zdawał się kląć jeszcze... Nie miał do wyboru, musiał przyjąć ofiarowaną gościnę. Zajął się więc Hruzda razem z nim wyładowaniem wózka, w którym było trochę rzeczy, wyprzężeniem koni i zaprowadził gościa do domu.

Ponieważ się ciekawych z poblizkich chat zebrała była kupka, pchnął przodem chłopaka do żony, dając znać, że z obcym człekiem przybędzie. Hruzdowie byli gospodarze majętni, zasobni, i liczono ich do najrządniejszych we wsi, tylko się im nieszczęściło w tem, że dzieci nie mieli, a już byli nie młodzi oboje, i gospodyni lamentowała wielce nad tem niebłogosławieństwem Bożem. Kobieta była i rozumna i serca poczciwego, obejściem przechodząc męża, który gburowaty, nieco gwałtowny, kwaśny często, jej wpływem dopiero nieco się był ułagodził i poprawił. Wpływ ten jednak znośniejszym go tylko uczyniwszy, w istocie nie wiele odmienił. Szanował żonę, obawiał się jej trochę, słuchał też, ale miewał wybryki, i życie z nim słodkiem nie było... Z inną żoną, kto wie, do czegoby doszło; z Hruzdziną, na statecznego gospodarza wyszedł, i wszyscy to jej przyznawali. — Lecz, żeby go prowadzić, nie mało też zręczności było potrzeba. Tym razem Hruzda wiedział dobrze, iż żona mu za przytulenie człowieka w biedzie słowa nie powie, choć do chaty trochę z sobą kłopotu przyniesie.

Weszli więc na próg, niosąc kilimki, zawiniątka i dobyte z wózka przybory, a znaleźli już i światło, i Hruzdzinę pośród izby w pogotowiu na przyjęcie gościa, jakiego Pan Bóg dał... Dopiero, gdy blask padł na twarz nieznajomego, postrzegł Hruzda, że to był mężczyzna już podżyły, szpakowaty, twarzy ponurej, ogorzałej, oczów czarnych, najeżonego włosa i pokulewujący na nogę. Silny, zdrów, barczysty zresztą, znać w jakimś przypadku szwankował, ale zawsze jako kuternoga niemiłe czynił wrażenie. Łysinę i zezowate oczy, mimo przysłowia rychlej człowiekowi przebaczono, kuternogów obawiano się przez pamięć na djabła, który uchodził za kalekę i nogi miał nieszczególne. Mimo, że im się nie najlepiej udał ów nieznajomy, przyjęto go gościnnie, Hruzdzina usmażyła jajecznicy, on też z podróżnych węzełków dobył flaszki z wódką zasłodzoną i gospodarzy częstował; a Hruzda nie był od tego. Rozgadali się wesoło, posiadawszy na ławach. To tylko było szczególnego, iż ów szlachcic, bo mu szlachectwo z oczów i sukni patrzało, — nie wygadał się jakoś, skąd był. Powiadał, że jest z niedalekiej okolicy, ale nazwiska wsi nie mówił. Nalegać też nie wypadało. O sobie rzekł, że u możnego pana majątkiem rządzi, iż go wysłano do Krakowa dla pokupek, i że dla tej fatalnej osi na czas do domu nie ściągnie. Gdzie zaś ten dom był, jak daleko i jak się ów pan zwał, jakoś nie wypadło mu objaśnić.

Wygadawszy się dosyć, poszli spać, a nie bez tego, żeby Hruzdowie mu o sobie nie wyspowiadali wszystkiego, czego tylko chciał słuchać. — Dowiedział się, że dzieci nie mieli, że Hruzdzinie tęskno bez nich było, że im gospodarstwo nie źle się zresztą wiodło i t. p.

Nazajutrz rano Hruzda, do dnia wstawszy, sam zajął się wózkiem i osią, tak że gdy się rozwidniło, wszystko było gotowe i szlachcic upakowawszy się, mógł ruszyć. — Chciał za nocleg zapłacić i gościnę, ale gospodarze nic nie wzięli, nawet za ćwiartkę owsa, którą dali koniom. Przyrzekł więc podróżny, że ich w przyszłym tygodniu z gościńcem nawiedzi. Ledwie był za wrotami, zapomniano o nim i o całej przygodzie.

W dni jakoś dziesięć nad wieczór stanął wózek przed chatą i konie uwiązawszy do płotu, kuternoga wszedł pozdrowić Hruzdów. Samego naówczas nie zastał, tylko babę. Położył na stole kilka kołaczów i butelkę miodu, a sam trochę na ławie spoczął. — Hruzdzina chętną była do gawędy; ni z tego ni z owego szlachcic powiada:

— A to wam za dzieckiem tęskno, hm! prawda, że kobieta do tego stworzona, aby pielęgnowała je i smutno bez nich... a ja, wdowiec i sam jeden mam z chłopakiem kłopot; nie mój ci to on jest, ze wsi sierota, alem go w pieluchach wziął i za swego niemal z litości i miłosierdzia chował. Tymczasem, gdy mi żona zmarła, teraz dojrzeć nie ma komu i dziecko bez dozoru przepada.

Hruzdzina słuchała, serce jej uderzyło, nie odpowiedziała nic, westchnęła tylko.

— Wyście to dobre ludziska — rzekł obcy — jabym wam oddał moję sierotkę i za utrzymanie zapłacił, bo to się u mnie zmarnuje... Syn wieśniaka, toby się tu i gospodarstwa przyuczył...

— A dużo mu lat? — zapytała Hruzdzina...

— Cztery dopiero...

Jakkolwiek na dziecko to wielką miała pożądliwość kobieta, nie śmiała na siebie wziąć, żeby bez męża przyrzekać, iż się je wychować podejmie.

— Mój jegomość — rzekła — jak mój powróci, trzeba żebyście z nim o tem pomówili; jam nie od tego, ale bez męża nie śmiem nic.

Tymczasem szlachcic się spieszył, a Hruzdy nie było, odjechał więc, poleciwszy gospodyni, aby się z mężem rozmówiła, obiecując, iż drugim razem po odpowiedź zajedzie. Gdy Hruzda nadszedł, miodowi i kołaczom był rad, lecz na opowiadanie żony głową strasznie trząść zaczął.

— A daj ty mi święty pokój! a na co mi ten kłopot! dziecko cudze! kto wie, jakiej natury, chorowite może, zdziczałe, krzyku będzie chata pełna.

Hruzdzina zamilkła, umiała jednak tak prowadzić sprawę, iż pomaleńku męża skłoniła i przekonała, że chłopiec by się im przydał, a dalej, dalej i pomoc z niego będą mieli. — Miała czasu dosyć na powolne nawracanie męża, na namowę i prośby, aby dziecko choć na próbę wziąć dozwolił; a że kobiety umieją, gdy pragną czego, użyć wszelkich środków,

jakiemi działać można, skłoniła wkońcu Hruzdzina starego, iż się zgodził chłopca wziąć na próbę. — Wszakże go zawsze, gdyby im z nim ciężko było, oddać mogli. Żadne z nich nie zastanowiło się nad tem jakoś, że szlachcic kuternoga, choć dwa razy już u nich był, dotąd jakoś zapomniał im nawet powiedzieć, gdzie mieszkał i skąd przyjeżdżał. Miarkowano tylko z zaprzęgu i częstych wycieczek do Krakowa, że z niedaleka gdzieś musiał przybywać.

Hruzdzina już była męża wedle swej myśli do tyla przerobiła, że choć burczał, nie sprzeciwiał się; ale szlachcica przez kilka tygodni widać nie było. Jednego dnia zrana, gdy Hruzda właśnie w pole się z pługiem wybierał, stanął wózek naprzeciw wrót i wysiadł z niego nieznajomy kuternoga. Tym razem przywiózł z sobą znać z domu tłustą gęś świeżo zabitą i flaszkę dobrej wódki żołądkowej na tatarskie ziele nalewanej. Hruzdę wyściskał jak przyjaciela, i zabrali się do chaty, choć chłopiec z pługiem czekał u wrót. Znalazła się u Hruzdzinej kiełbasa, i zaczęto śniadanie, ale o chłopcu zrazu nie było mowy. Rozmowa była tak zręcznie prowadzoną, iż sam gospodarz coś o chłopcu zagadał. Szlachcic jął go chwalić a stękać, że mu się ta sierota, którą on chciałby na ludzi wyprowadzić, marnuje.

— A czemużbyście wy chłopca wziąć nie mieli? rzekł. — Dzieci własnych nie macie, kobiecie nie będzie tak tęskno, jabym też z chęcią choć i zapłacił za utrzymanie. U nas nikogo niema, komuby zwierzyć dziecię.

(Ciąg dalszy nastąpi).



Legenda o stworzeniu kobiety.

Każdy prawie naród starożytny posiada jakąś legendę, w której jak w zwierciadle, odbija się najlepiej jego psychika i stosunek mężczyzny do nieodłącznej jego towarzyszki — niewiasty. Już w wieku 14-tym naszej ery jeden z uczonych filologów włoskich, mantuańczyk Callini zadał sobie trud zebrania znacznej części tych podań i legend w rękopisie, który dotąd przechowuje się w ateńskiem muzeum miejskiem. Oto niektóre z tych legend:

„Gdy bogowie stworzyli świat — głoszą Święte Księgi chińskie — zaludnili go oni z początku samymi mężczyznami, jednakże po bardzo krótkim czasie mężczyźni wpadli w wielkie lenistwo. Nie chciało się im pracować, uprawiać roli, siać, ani zbierać owoców ziemi, któremi ich dobrotliwi bogowie obdarzyli. Głód i choroby poczęły się szerzyć wśród ludzi. Wówczas bóg Tao postanowił przyjść z pomocą zagrożonej ludności, zsyłając na ziemię niewiasty. — Stworzył on ją z oparów mgły, podnoszących się ku niebu w słoneczny wiosenny poranek i nadał jej gibkość i lekkość ruchów owych mgieł i promienność jutrzenki. A powoławszy do życia ten twór boski nakazał niewieście zejść na ziemię i przebywać wśród ludzi, nieustannie pobudzając ich do pracy i nie dając spocząć ani na chwilę. Odtąd kobieta stała się dla mężczyzny nieustającym bodźcem pracy. Wykonywa on, by ją posiąść i zatrzymać przy sobie, najtrudniejsze zadania, nie cofa się przed żadnem poświęceniem — a jednakże owa zesłana mu przez niebo towarzyszka, aż nazbyt często łudzi go tylko zwodniczym uśmiechem, pierzchając przed nim, jak mgiełka poranna, rozwiewająca się w palących promieniach słońca".

W księgach japońskich znajdujemy znów inne podanie:

„Życie ludzkie składa się z 3-ch głównych czynników: wojny, życia społecznego i godzin odpoczynku. Pierwsze dwa czynniki są jedynie dostępne dla mężczyzny, gdy jednak wojownik i mąż stanu pragnie wypocząć po trudach, stałoby się dlań klęską nie do zniesienia i dlatego dobrzy bogowie zaradzili temu, dodając każdemu mężczyźnie towarzyszkę życia, której przeznaczeniem jest umilać mu chwile odpoczynku. Wziąwszy kłębek złocistego jedwabiu i wyszeptawszy nad nim, jako miłosne zaklęcie, słowo: kocham, bogowie zrzucili go z niebios na ziemię, a z kłębka tego powstała kobieta".

U ludów semickich, Egipcjan, Babilończyków i Assyryjczyków spotykamy z bardzo małemi warjantami opowieść genezyjską o stworzeniu kobiety z żebra uśpionego mężczyzny. Legenda staro-germańska głosi, że niewiasta zrodziła się z ziemi zlanej krwią poległych w walce za Ojczyznę bohaterów.

Najbardziej zaś pesymistycznie zapatrywali się na kobietę Gallowie, którzy stworzenie jej przypisywali złym bóstwom, pragnącym osłabić dzielność i męstwo bojowe wojowników. Dlatego też zalecali oni młodym wojakom trzymanie się zdala od kobiet. „Jeśli wpatrujesz się zbyt długo w kobietę — mówi stare przysłowie celtyckie — wierny twój miecz pokrywa się rdzą i staje się niezdatnym do boju, a tarcza wiotczeje, nie osłaniając już twojej piersi przed ciosami wroga".

Na zakończenie przytoczymy jeszcze kilka ciekawych argumentów z dzieła słynnego uczonego z 16-go wieku, Corneliusa Agryppy de Nettesheyma, p. t. „O szlachetności i doskonałości płci niewieściej". Słynny ten uczony we wstępie do swego traktatu, wykazuje wyższość kobiety nad mężczyzną, która według niego, przejawia się już w samem etymologicznem znaczeniu imion naszych biblijnych prarodziców. „Adam bowiem znaczy: ziemia, Ewa zaś — życie. I rzeczywiście — mówi Agryppa — widzimy, że wznosi się ona ponad swego małżonka, jak Duch Żywota panuje nad Materją. Bóg sam, tworząc niewiastę, później, niż mężczyznę, wykazał tem, iż uczynił ją doskonalszą. Najpierw bowiem tworzył istoty najniższe, później coraz doskonalsze, aż wreszcie zakończył swe dzieło — stworzeniem Ewy".

A dalej: „Mężczyzna, zarówno jak i inne stworzenia, został ulepiony z gliny. Niewiasty jednak Bóg nie chciał stworzyć z tak nieczystego elementu. Wziął dla niej część już stworzonego organizmu ludzkiego i tchnął w nią ducha. Niewiasta przeto nie jest tworem materji... Jest ona najwyższym tworem Bożym — i stąd pochodzi jej piękność. Czemże bowiem jest piękność, jeśli nie odbiciem Boga na ziemi?"

Spełnione marzenia.



Od lat najmłodszych pasał bydełko nad modrym ruczajem, który wił się wstęgą srebrzystą wzdłuż dworskiego lasu. Ze wschodem słońca wypędzał swe krówki na zieloną paszę i gwarzył z nimi, póki palące promienie słońca nie spędziły go ku gospodarzowej chacie, aby w cieniu stajni odpoczęły chwilę i by ich znowu nie popędził tam, gdzie były przed południem, tam, gdzie były wczoraj, gdzie pójdą znów jutro i dnia następnego, póki ich ostra zima nie zatrzyma w zacisznej stajence.

Krówki były spokojne, nie myślały o niczem innem, a jeno o zielonej trawce, którą zajadały z apetytem, toteż Janek miał dość czasu, aby myśleć o wszystkiem, aby wszystko przerabiać w swej głowinie i snuć tak śmiałe plany, jakichby był nie potrafił snuć najodważniejszy rycerz w swej wyuczonej głowie. — A więc przez umysł Janka przesuwała się jakaś królewna, która miała takie złociste włosy, jak Hanka, która nieopodal niego pasała również swe bydełko, a usteczka tak karminowe, jak Zośka, sierota po komornicy, co zeszłego roku pożegnała się z tym światem, a ciało tak bielutkie, jak sama pani dziedziczka, którą raz zobaczył kąpiącą się w stawie dworskim. Szaty jej zaś były tak pozłociste, jak księdza proboszcza, kiedy w Boże Ciało ujmie monstrancję w swe dłonie i błogosławi nią całemu światu.

Przy swojem bydełku Janek marzył o pięknej królewnie i radby ją był przytulić do swego pastuszego serca i patrzyć się na nią bezustanku i modlić się do niej, stać przy niej i umrzeć przy niej. Ale choć tam nie był uczony, ale to przecież wiedział, że do zdobycia królewny nie wystarczą same zalety serca i duszy, że w pierwszym rzędzie trzeba na to pieniędzy, bardzo dużo pieniędzy. Wiedział, że za pieniądze wszystko kupi, nawet i do nieba podobno za pieniądze dostać się można. Wystarczy dać za nieboszczyka raz i drugi na mszę świętą, ofiarować kilka razy dziadowi jałmużnę i niebo gotowe. Tak powiadał mu Franek, który razem z nim bydełko pasał, dlaczegóżby więc nie można było zdobyć królewny z włosami Hanki, a usteczkami Zośki, a z bielutkiem ciałem pani dziedziczki, gdyby tylko pieniądze były. Ale skąd wziąć pieniędzy?

Pasąc swoje bydełko, przypomniał sobie Janek gadkę o kwiecie paproci, który zakwita w Noc Świętojańską. Kto odnajdzie kwiat ten i zacznie pod nim kopać, wykopie skarb, o jakim marzył, a który zapewni mu szczęście w życiu prawdziwe. A że zbliżała się Noc Świętojańska, Janek nie mógł spać, jadło mu nie smakowało, nic go nie cieszyło, gdyż cała myśl jego była jeno kwieciem paproci zajęta. A gdy Noc owa nadeszła, wymknął się po cichu z chaty i z rydlem w jednej garści, a święconą wodą w drugiej zapuścił się w las ciemny.

Szedł i szedł bez jakiegoś określonego kierunku, gdyż nie wiedział, gdzie kwiat ów zakwitnie, byle jeno dalej i dalej. Stopy jego raniły ostre ciernie głogów i ostrężyny, które się gęsto po lesie rozrosły, wpadał w dołki, pozostałe po wykopanych pniach drzewnych, gramolił się z nich i podążał coraz dalej a dalej.

Po dwu a może trzygodzinnej wędrówce spostrzegł w oddali jakieś światełko. Był pewny, iż widzi ów wymarzony kwiat paproci. Ledwie serce nie wyskoczyło mu z wielkiej radości z piersi. Nogi zadrżały mu ze wzruszenia, siły opuściły go pod wrażeniem owego upragnionego widoku.

Usiadł na chwilę pod rozłożystym dębem, aby tchu nieco zaczerpnąć, aby nabrać mocy do pracy, która go czekała przy odkopywaniu skarbu. Zwiesił głowę na piersi i począł marzyć, jak on to sobie przy pomocy uzyskanych pieniędzy zdobędzie ową królewnę, która będzie miała złociste włosy Hanki, koralowe usteczka Zośki i bieluchne ciało pani dziedziczki. Jak on to będzie pieścił te lny Hanczyne, całował kalinowe usteczka Zośki i lubował się śnieżystem ciałem pani dziedziczki.

Zwiesił głowę na piersi i marzył i w myślach swych szedł na zdobycie owego wymarzonego skarbu. Praca była wprawdzie ciężka, gdyż ziemia, nie tykana od wieków ręką ludzką, opierała się przed jego rękami, ale on kopał i kopał bez wytchnienia. Odlatywały grudki ziemi, póki ostrze stali nie uderzyło o coś twardego. Domyślił się, iż była to szkatułka z upragnionem złotem. Jeszcze trochę wysiłku, jeszcze parę zanurzeń ostrej łopaty w ziemię i skarb znalazł się na jej powierzchni. Otworzył żelazną pokrywę i omal nie omdlał z wielkiego zdziwienia: tyle złota jeszcze nigdy w życiu nie widział! Usiadł obok swojej zdobyczy i cieszył się nią długo, póki nie nabrał znowu sił do drogi powrotnej.

I uniósł swój skarb i był odtąd bogaty. Ale ze zdobyciem majątku nie przyszło równocześnie tak upragnione szczęście, bo to co dotąd było dla niego bliskie i drogie, stało mu się dalekie i niedostępne. a to, co było mu dotąd niedostępne, jeszcze bardziej się od niego oddaliło. Dotąd mógł bez obawy patrzyć na złote włosy Hanki i w razie chęci nawet je ująć w garść i trochę potarmosić, mógł słuchać szczebiotu

karminowych usteczek Zośki i nawet je swojemi usty w razie chęci dotknąć, mógł wpatrywać się bez przeszkody w bieluchne ciało pani dziedziczki, kiedy ta zasiadła w niedzielę w kolatorskiej ławce w kościele i nikt mu w tem nie przeszkadzał i nikt się temu nie dziwił. A teraz i Hanka i Zośka tak się gdzieś oddaliły od niego, a nawet pani dziedziczka, gdy zwrócił wzrok swój na nią, zasłaniała się i stawała się jeszcze więcej dlań niedostępna. Poznał, że z chwilą zdobycia skarbów wszystko to, co mu było bliskie, oddaliło się tak dalece od niego, że o zbliżeniu się powrotnem nie mógł ani marzyć, a to, co było ponad nim, co dotąd mu było dalekiem, jeszcze dalszem się stało. Poznał, że od równych sobie łatwo się oddalić, ale wznieść się ku wyższym jest niezmiernie trudno. Bo aby wejść na wyżyny społeczne, nie wystarczy do tego złoto; tu potrzeba nie ziemskich skarbów, ale skarbów duszy, skarbów umysłu, a tych za żadne pieniądze nie otrzyma.

I co jeszcze. Dotąd Janek po całodziennej pracy szedł spokojnie spać i spał kamiennym snem, póki go wschodzące słońce ze snu nie zbudziło. A teraz, stawszy się bogatym, ani dnia ani nocy nie miał spokojnej. W dzień musiał się opędzać przed rozmaitemi wyzyskiwaczami, których całem dążeniem było, aby go zdobytego skarbu pozbawić, w nocy budził go każdy szelest, gdyż obawiał się, aby nie zakradł się do jego skarbów jaki rzezimieszek i nie pozbawił go tej upragnionej zdobyczy.

Och! jakżeby chętnie pozbył się tych wszystkich bogactw, byle znowu powrócić do dawnego beztroskiego życia i móc pieścić się złotemi włosami Hanki, całować karminowe usteczka Zośki i podziwiać bieluchne ciało pani dziedziczki.

Westchnął biedny Janek i przebudził się ze snu, jaki go zmorzył odpoczywającego pod drzewem w Noc Świętojańską. Uchwycił w garść łopatę i pomknął szybko ku wsi rodzinnej z mocnem postanowieniem nie szukania już nigdy więcej ani cudownych kwiatów paproci, ani ukrytych pod nimi skarbów.

I był znów szczęśliwy, jak dawniej przy swojem bydełku.

A. St. B.



MACIEK BZDURA GADA:

Hej, hej, jaka to bida, ze w nasej wsi ino niektóre panienki mają dzieci. A jesce większa bida, ze ni może ich mieć zaden kawalirz, choćby pracował od połednia do świtania! Cemu to Poniezus nie pozostawił ludziom do woli, aby se kuzden mógł wybirać, cy chce mieć dzieci, cy nie. Ja tobym se tam teraz wybrał zaraz z óśmioro. Wiadomo, ze na wsi zwiesną i latem jest harówy, nieprzymirzając, jak pchłów u psa lub mojej gospodyni, a cłek ma ino parę ręców, któremi się ani rus obrobić nie może. A jakbym miał ośmiaro dzieci, toby mi ani jednej ręki nie potrza było. Wstałbym se rano, wziął w garść lasicę, przejechał jednego i drugiego brzdąca po pośladku i suruj do roboty. Bartuś posedłby plewić zimniaki, Wojtuś kosić trawę na łąkę, Margośka pasłaby ogony, Frajcyska zbirałaby trawę la gadziny, Kajtuś posedłby na jegomościowy konic uscknąć go krzynkę la królików, Waluś uzbirałby w lesie grzybów, Jagniśka wytrzepałaby hadery z owadów, a Justysia ugotowałaby kluchów z zimniacanej mąki. A ja trochębym se chodził z ręcami w portasach, trochębym se jadł, i znowu trochę chodził, i znowu trochę jadł, a potembym se znowu pochodził i znowu trochę pojadł, a jakby przysło połednie, tobym sie z godzinkę przespał, a potem znowubym se pojadł i znowu trochę pochodził, jaze do podwiecorku, a po podwiecorku znowubym se trochę pochodził i trochę pojadł, a potem la odmiany znowubym se trochę pojadł i trochę pochodził, a jakbym się zmęcył, tobym se lada gdzie usiadł i nieco przekąsił, i znowu la lepsego apetytu przesedłbym się trochę i zjadł z donickę zimniacków, aby zbytnio nie zgłodnieć do wiecerzy. A robota i takby sła, boby robili za mnie Kajtuś, i Bartuś, i Waluś i Jagniska, i Frajcyska, i Margośka, i Justysia.

A tak to co? Cłek ni ma ani jednego dziecka, a jakby chciał mieć, to się trzeba jakiej niewieście piknie pokłonić, aby mu je umnozyła. I myślicie, ze wam to zaraz zrobi? Kajta zaś! Będzie się namyślała bez parę miesiąców, a jak się wreście namyśli, to was obdarzy takiem brzdącem, z którego żadnej wyręki nima, a jeno kłopot, a strapienie. Jakby my się chłopy do takiej roboty wzięli, toby było całkiem inacej. W poniedziałek byłby Bartuś, we wtorek Kajtuś, we środę Waluś, we cwartek Wojtuś, w piątek Margośka, w sobotę Justysia, a w niedzielę la wielgiej urocystości Frajcyska i Jagniska. Odstawiłby cłowiek wszyćko odrazu i byłoby po kłopocie.

A jesce i tę wadę mają teraźniejse baby, ze się jem nie chce mieć duzo dzieckėw. Gdyby ich tak chłopy nie prosili pieknie, toby poprzestały na jednem, a i tak, choć je proszą, to umnozą dwoje albo troje i więcej się jem nie chce. Chłop, jakby się zabrał do roboty, toby w parę tygodni odstawił kilka tuzinów i byłaby potem wyręka we wszelakiej robocie.

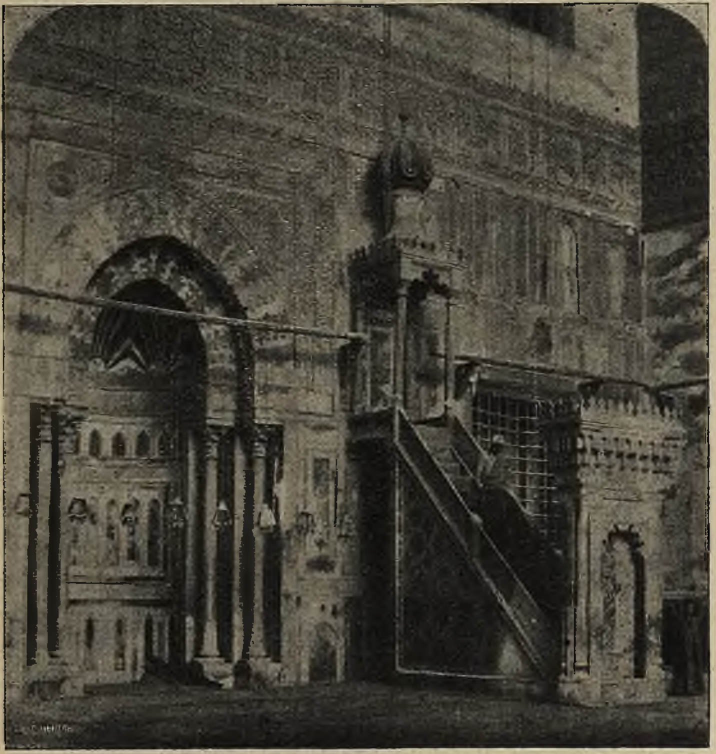
Padacie, ze ileby to trzeba było la tego przyodziwy i wychowku. Baj baju, będzies w raju! Jakby była w chałpie taka chmara brzdąców, toby one przecie na wychowek la siebie zarobiły, a co się tycy przyodziwku, to cy on jest la cłowieka konieczny? Byle tam zatkać niektóre grzysne części ciała, a reśta niechby się tam patrzała na ten piękny świat Boski. Co tam załować widoku na piękne okolice nasego kraju. Przecie wiadomo, ze niektóre ludzie, aby patrzyć na piękne widoki, to wydają kupę pinięndzy, jadąc albo w Tatry, albo w Pieniny, albo na Hel nad morze, a cielsku, które moze mieć takie widoki kole łujkowy stodoły, czyzby ich trzeba było załować. — W zimie zasie, kiedy nima nijakiej roboty, a wszyćkie widoki śnig zasypie, siadłby se Kajtuś przy Wojtusiu, a Bartuś przy Walusiu, Jagniska przy Justysi, a Frajcyska przy Margośce i własnem ciepłem lepiejby się ogrzali, niźli niejedna panienka, paradująca po ulicach miasta w obskubanej spodnicynie.

I byłoby dobrze, ale cóz, kiedy Poniezus dał te przywileje niewiastom, a one se robią, co chcą i Poniezus sie teraz do tego nie misa.

PODRÓŻ PO DALEKICH KRAJACH.

Egipt V.

Najpiękniejszym z meczetów w Kairze, których, jak zaznaczyliśmy w poprzednim numerze „Roli“, wznosi się tam ponad czterysta, jest meczet sułtana



Moszeja sułtana Hassana w Kairze.

Hassana. Wznosi się on u stóp cytadeli, a pochodzi z XIV wieku. Ponad budową wznosi się 86 metrów wysoki minaret, podzielony na piętra, coraz bardziej zwężające się ku górze. Piętra ozdobione są gzymsami kielichowymi, obok niego wystrzela ku górze niższy i smuklejszy minaret, a pomiędzy nimi zatoczyła się cebulowata kopuła 55 metrów wysoka. Do meczetu prowadzi wielka brama, ozdobiona arabeskami. Przedsionek nakryty jest kopułą. W nim sułtan Hassan udzielał posłuchania. Za tym przedsionkiem jest drugi, a dalej korytarz ciemny, w którym wdziewa się pantofle, nim się wejdzie dalej do wnętrza. Dalej cztery sale, otaczające wolną przestrzeń. Jedna ze sal jest wyższa i stanowi miejsce święte. W niej ołtarz z marmuru różnokolorowego z czterema słupami, ambona, wsparta na pilastrach i ośmiu słupach. W pośrodku sali wisi lustro o pięknie rzeźbionych ramach. W-około ścian umieszczono wazy z kolorowego szkła z nazwiskami panujących. Świątynia ozdobiona jest pięknemi lampami z bronzowemi latarniami. W świątyni znajduje się grób sułtana Hassana.

U nas, jeżeli się chce bliżej określić coś posępnego i brzydkiego, powiada się: „Brzydki, posępny, jak noc!“ i słusznie, bo prócz niewielu rzadkich nocy około świętego Jana i rzadszych jeszcze miesięcznych około Bożego Narodzenia, któż podziwia u nas czar nocy od zmroku do świtu, jeżeli niebo zakrywa ciemność bezksiężycowa, lub jeżeli to niebo pokrywają gęste chmury. Natomiast w mowie arabskiej do najpochlebniejszych porównań należy porównanie: „Cudne, jak noc!“ Zaiste doskonałości musi być to bliskie, co naprawdę zasługuje na określenie: piękne jak noc arabska. Bo nie jest ona czarna ni burzliwa, mroźna ni dżydżysta, ale owszem błękitna i pogodna w koronie gwiazd, z księżycowym sierpem u czoła. Orzeźwia ona i rozmarza, budzi z odrętwienia ludzi, a rośliny skrapia rosą, wiatr jest jej wachlarzem, nie biczem, a obłoczki, w które się stroi, są jej białą szatą weselną, nie zaś burym pokutniczym habitem.

Zewsząd dolatuje śpiew tęskny, namiętny, miłosny, jak świegot ptasi na gody; nie ucichnie on przed brzaskiem, a choć niezrozumiały dla obcego przybysza, to przecież tak miły, tak pociągający, że można go słuchać godzinami z ogromną przyjemnością. Trwa on bez przerwy od zmierzchu do rana coraz to w innej stronie, wobec czego ma się wrażenie, iż ludzie w Egipcie wcale w nocy nie zasypiają.



Statki na falach Nilu.

Po wieczerzy ciągną tłumy na most i nad rzekę, na której dziesiątki statków pozamieniano na mieszkania letnie, z których jedne stoją rzędem u brzegu na kotwicy, inne kołyszą się swobodnie na falach Nilu. Na statkach wre huczne życie. Bogacze wydają na nich uczty, goszczą przyjaciół i pieczeniarzy, przypatrują się tanecznicom, palą swoje oryginalne fajki, ale przedewszystkiem oddają się zupełnej bezczynności, bezmyślności i nieruchomości, co sprawia im największą rozkosz. Kto sobie zaś na tak zbyt-

kowne próżnowanie pozwolić nie może, ten urządza sobie je tańszym kosztem, wybiera się poprostu z towarzyszami piechotą, siada na ogrodowej ławce i tam popada w owo rozkoszne dumanie od snu milsze, bo świadome, a wszelkiego wysiłku wolne.

Na naszych obrazkach, drugim i trzecim, mamy przedstawione dwa widoczki Nilu. Na pierwszym z nich widzimy obszerne fale Nilu, po których rozprószone pływają mniejsze i większe statki, a na statkach tych rozkoszują się bezczynnością tamtejsi Arabi. Ostatni przedstawia wybrzeże Nilu pod Kairem z szeregiem łodzi przy brzegu, gotowych do przyjęcia swych panów, a nadto kilka, wyruszających już na spokojne fale Nilu. (Ciąg dalszy nastąpi).



Wybrzeże Nilu i stara nadbrzeżna dzielnica Kairu.



(Ciąg dalszy). (Przedruk wzbroniony).

XII.

Czternaście dni.

Od chwili zniesienia hrabianki do jej pokoju Brutanek zakwaterował się w nim. Przysunął fotel do łóżka i on stał się jego mieszkaniem: jadalnią i sypialnią. Fotel ten opuszczał jedynie, by badać stan hrabianki, wlewać lekarstwa, przewijać ranę, żywić i zaspakajać pragnienie. Z tego fotelu ruszał się, by czasami udać się do apteczki zamkowej, gdy potrzebował lekarstw. W fotelu tym mieszkał okropnych i długich czternaście dni i tyleż nocy. Przez owe czternaście dób do nikogo nie wyrzekł słowa, ani spojrzał. Nie obchodziło go zupełnie, kto wchodził do pokoju, jak długo przebywał. Nie obchodziło go, co się wokół niego działo. Nie zdawał sobie sprawy, kiedy był dzień lub noc. Zaciął się w gniewie, a równocześnie nie chciał zasłużyć na zarzut dokonania niedozwolonej operacji, kuracji której nie przeprowadził do końca. Wyrzeczone w podnieceniu przez hrabiego obelgi do tego stopnia go zabolały. Nie liczył się, że właściwym winowajcą był lekarz Lassonyi.

Przez całe czternaście dni nie pamiętał o sobie. Zaniedbał się zupełnie. Nie golił, ani zmieniał bielizny — jedynie mył się. Jedzenie rzadko spożywał. Hrabiostwo widząc, że nie ma zamiaru udawać się do pokoju jadalnego, poleciło mu przynosić pożywienie do pokoju chorej. Tknął je zaledwie tyle, by nie umrzeć z głodu.

Zresztą czy on sam zdawał sobie sprawę, dlaczego tak postępował, co było właściwym powodem jego czynności? Może hrabia ze swoją opryskliwością, a może i stan hrabianki Marty to spowodował? Może więcej z rozpaczy i miłości stał się odludkiem? Może widząc, iż jego pacjentka stale walczy ze śmiercią, chciał i siebie doprowadzić do wycieńczenia i razem z nią zamknąć oczy na wieki? Któż zresztą mógł odgadnąć, co na niego przedewszystkiem wpłynęło?

Z biegiem okropnych czternastu dni coraz bardziej chudł, zarósł i niemal całkiem osiwiał. Jego twarz przybrała wyraz dziki, czasami szalony, aż lęk przejmował.

Choroba hrabianki Marty, przez ten czas przechodziła z fazy na fazę. Gwałtowność jej była niepowszednią. Od chwili, gdy ją umieszczono w łóżku, ciało jej zaczęło czerwienieć — oblało się potem, takim obfitym, że strugi wody spływały. Ciągle musiano zmieniać pościel i bieliznę. Jak przed operacją, temperatura ciała bywała niżej normalnej, od tego czasu objęła je gorączka, wahająca się bez przerwy między 40 a 41 i pół. Lekarz Brutanek rozpaczliwie walczył z tym stanem, jednak bezskutecznie. Przedtem nie miała nawet odrobiny własnej mocy — tak obecnie zaobserwował jej zbyt dużo. Stale majaczyła, zwierzając się z najróżnorodniejszych przejść życiowych, wrażeń gorączkowych. Ręce, nogi, głowa bezustannie były w ruchu. Rzucała się, chciała gdzieś i przed czemś uciekać, biła lub kopała widziane mary i zjawy.

Noce bywały najuciążliwsze. Przytomności ani na chwilę nie odzyskała. Wygląd rany zadanej przy operacji niepokoił Brutanka. Na trzeci dzień, zmieniając opatrunek z przerażeniem skonstatował, że cała pierś zapuchła i nabrała koloru karmazynu. Koło samej rany zauważył rowki w opuchlinie. Skąd pochodziły, domyślił się — występowały w miejscach szwów. Miały one wygląd niemal niebieski.

— Niema ratunku — przyszło mu na myśl. Gangrena się rzuciła.

Kiedy jednak dokładniej przyjrzał się opuchnięciom, mającym wygląd jak po ukąszeniu jadowitego owada, uspokoił się. Ukazały się podobne symptomaty jak przy zakażeniu krwi — ale z niespotykanemi narościami... Pozwalały mu się łudzić słabą nadzieją. Rzucił się do różnych środków lekarskich. Z ciała i choroby hrabianki uczynił pole doświadczalne, próbując wszelkich sposobów leczenia. — Wprawdzie pojawiały się różne komplikacje, niezdarzające się przy zwyczajnych operacjach. Nie zdawał sobie sprawy, pod jakie miano chorobę może podciągnąć.

Za wszelką cenę pragnął ją wyratować i nie mógł się z tem pogodzić, że hrabia, tak bardzo ją kochający, w ostatniej chwili nietylko się zawahał, ale wprost chciał mu przeszkadzać.

Między nim a hrabiostwem ułożył się niezwykły stosunek. Skoro hrabina, przybywała odwiedzić córkę, korzystając, iż może oderwać uwagę, poddawał się drzemce w swoim fotelu.

Hrabia wpadał do pokoju tylko wtedy, skoro mu doniesiono, że lekarz Brutanek śpi, korzystając ze spokojniejszego stanu pacjentki.

Gdyby był chociaż raz zmusił się do spojrzenia na twarz hrabiny, przekonałby się, że ona pozostała

mu wierną, nie zmieniła uczuć. Z pewnością gniew jego ostygłby cośkolwiek. Z dziwną nieraz litością i smutkiem przyglądała się wynędzniałej twarzy Brutanka. Ona jedyna do ostatka zachowała pewność, że on córkę musi uratować. Spostrzegła, co w sercach tych dwojga się działo i jak wielką pałali miłością. Miłość przecież zwykła dokonywać cudów — i tych cudów oczekiwała. Z Brutankiem chciała pozostać na dawnej stopie, ale przekonała się, że z nim wogóle nie można było mówić. Zaciął się w gniewie, nietylko nie chciał jej widzieć, ale nawet zbywał milczeniem każde jej pytanie.



Wyciągniętych rąk nie wypadało mi cofać i przywitałem się... (Ilustracja do powieści w Nr. 17 „Roli").

Mimo to pozostała mu nadal przychylną. Dowodem mogły być chociażby spojrzenia, jakiemi go obdarzała. Większej tkliwości nie wyczytałby nawet w oczach matki. Raz nadto pod wpływem gwałtownego rozczulenia, widząc lekarza głęboko uśpionego, tak jej się przynajmniej wydało, podeszła doń, pogładziła umęczoną głowę i ucałowała w czoło.

Obudziła go momentalnie, chociaż nie zdawał sobie sprawy, co było tego przyczyną. Jaki był czujny, miała hrabina sposobność kilkakrotnie zaobserwować. Chociaż czasami zdawał się być w głębokiem uśpieniu, najmniejsze poruszenie chorej zrywało go. Rzekłbyś jedno czucie mieli.

Najwidoczniej pod wpływem żony hrabia Radwanyi już po kilku dniach zmienił się w swoich uczuciach dla Brutanka. Najlepszem zaprzeczeniem przypuszczeń lekarza Lassonyi — było to, że hrabianka żyła mimo przepowiedni śmierci.

Szereg dni upłynął, a stan jej nie ulegał zmianie. Chociaż dla Brutanka poczynał odczuwać coraz silniejszą litość — to jednak lekarz Lassonyi nie pozwalał na ostateczne przywrócenie poprzednich stosunków. Najdziwniejszem jednak było, co powodowało tym ostatnim. Z początku dawał Brutankowi dowody przychylności, a nawet serca — dlaczego w takim razie w ostatniej chwili wystąpił ze stanowczym sprzeciwem? Sam nie zdawał sobie z tego sprawy.

Po kilku dniach, głęboko zastanawiając się nad przejściem, powziął zamiar przeproszenia Brutanka. Brutanek jednak był winien, że nie doszło ono do skutku.

Kiedy bowiem lekarz Lassonyi wszedł do pokoju hrabianki, twarz jego zawsze blada, poczerwieniała, oczy zajaśniały piekielnym ogniem. Nie dał przyjść mu do słowa.

— Proszę się natychmiast wynosić — krzyknął. Hrabianka, według pańskiego orzeczenia — znajduje się już w grobie.

Był bowiem święcie przekonany, iż korzystając ze swego stanowiska, chciał skontrolować stan chorej. Naturalnie, że usłuchał wezwania. Zamiast pojednania, odszedł z większym gniewem. Z tego to powodu podtrzymywał hrabiego w złości, wmawiając, iż stan chorej nie rokuje życia. Radził nawet mu sprowadzić konsyljum lekarskie z Debreczyna. Hrabia oparł się jednak podszeptom, nie chcąc pogarszać położenia. Wychodził bowiem z założenia, mając na uwadze opinję znakomitości lekarskich, że tak, czy tak, córka była straconą dla życia.

Słowa wyrzeczone w uniesieniu do lekarza Lassonyi były jedynemi przez owe czternaście dni. Pozatem do nikogo się nie odzywał, nawet do pielęgniarek. Najwyżej do siebie coś szeptał, gdy badał chorą. Zresztą pomocy ich rzadko używał. Poza umyciem chorej, zmienieniem pościeli lub bielizny — nie były mu one potrzebne. Sam czuwał dniami i nocami, trwając w fotelu. Niedługo wszyscy przyzwyczaili się do zaprowadzonego stanu, że nie wyobrażali sobie pokoju bez lekarza Brutanka zrośniętego z fotelem. Stał się niezbędnym meblem.

Prawda, naprężony stosunek nikomu nie mógł być przyjemny — to jednak musieli się z nim pogodzić.

Stan gorączkowy hrabianki przez czternaście dni stał mniej więcej na równi. Zewnętrzny natomiast wygląd uległ ogromnej przemianie. Jak przedtem była chora dosyć tęgą — tak obecnie schudła do niezwykłych granic. Dodatnią stroną była jej cera — stale różowa przez dzień — nocą czerwona. Rysy twarzy nabrały wyrazistości — wspaniałej mimo choroby. Czarne oczy błyszczały żywością chociaż nie odzyskała ani na chwilę przytomności.

Wygląd rany powoli przeobrażał się. Kilka dni trwożyła ona Brutanka. Podejrzywał gangrenę. Poczęła jednak klęsnąć, a wreszcie całkiem opadła. — Odetchnął. Dręczyła go jedynie gorączka, która nie powinna była utrzymywać się na jednym poziomie, wobec widocznego polepszenia. Nie mniej dziwne było zachowanie się hrabianki. Dziewięć dni w majaczeniu krzyczała, śmiała się, jak szalona. Ostatnie cztery dni stała się spokojniejszą. Wprawdzie majaczyła, ale z jej słów wynikało, że czuła się szczęśliwą. Zwierzała się cichym głosem ze stanu swojego serca, opowiadała o uczuciu do Stacha.

Słuchając jej, czuł się wynagrodzonym za wszystkie trudy, kłopoty i zgryzoty. Ona jedyna była jaśniejszym promieniem w jego pomnych dniach smutku i zwątpień.

Najgorsze bywały noce. Stan hrabianki stawał się wtedy wprost nieznośny. Kamienny sen, w jaki przed operacją zapadała, znikł bezpowrotnie. Osądził na podstawie tego, że dusza jej nie ulegała więcej rozdwajaniu. Pozostała niepodzielnie przy żywej. Zachowywała się natomiast tak, że nieraz do rozpaczy go doprowadzała i zmuszała do krępowania ciała i przywiązywania do łóżka. Chciała uciekać, nabierała szalonej siły, że mimo pomocy sanitarjuszek nie mógł sobie dać z nią rady. Nawet wtedy, gdy ją unieruchomiono — usiłowała zerwać pęta. Widział w tem rekompensatę za poprzednią kamienną nieruchomość. Tak też było. Nad ranem uspokajała się. Zwolniwszy ją z pęt — klękał koło jej łóżka i wprost pła-

kał. Do tego stopnia wycieńczała go moralnie i fizycznie walka z chorą. Co przytem w jego duszy się działo, jakie uczucia przewalały się, nie umiałby opowiedzieć. Życie, wiedzione u łoża chorej, było przedsmakiem piekła. Naprężenie nerwów, podniecenie, tak się w nim zespoliły, że gdyby naraz został pozbawiony walki, nabawiłby się poważnej nerwowej choroby. Najgorszą ze wszystkiego była męka wewnętrzna, troska o życie ukochanej. Kochał ją, jak szaleniec, uczucia jego ani na chwilę nic nie mogło oziębić. Czuł się przy niej potępieńcem, ale miejsca swojego nie odstąpiłby nikomu. Wystarczało mu, że bez przerwy na nią patrzał, za słowa miłości przyjmował jej zwierzenia wypowiadane w majaczeniu. Pieszczotę odczuwał przez ujęcie jej ręki, wyszeptywanie do ucha nieprzytomnej słów uspokajających. Najgłębsze zadowolenie znajdywał w tem, że klęknąwszy u łóżka, mógł się za nią modlić, a czynił to w coraz żarliwszych słowach. Dziwiło go, skąd on, niezbyt dawniej pobożny i wierzący, mógł się zdobyć na takie szczere i ze serca płynące wołanie do Boga. Tonący brzytwy się chwyta — powiada przysłowie — i on ostatnią deskę ratunku widział w modlitwie, skoro zwątpił w skuteczność lekarstw i wiedzy medycznej. Modlitwa stawała się osłodą, przynosiła nawet ukojenie, wzmacniała wiarę. Nie chciał się z tem pogodzić, by Bóg, widząc jego ogromną, czystą miłość, nie zechciał go wysłuchać. Nic też dziwnego, że poczynił tysiące ślubów na intencję jej wyzdrowienia. Najgłówniejszy, który po głębokiej walce ze sobą złożył, brzmiał, iż wyrzekał się dalszych starań o nią. Tak wielką była jego miłość do nieszczęśliwej ofiary „dziwów życia".

Kiedy w majaczeniu wypowiedziała jego imię zdrobniałem „Stachu", a słowom nadawała zawsze znaną mu słodką tonację, zdawał się słyszeć rzewną, serdeczną muzykę szczęścia. Poznawał z tego, że stale go kochała i nie mogła o nim zapomnieć nawet w nieprzytomności. Miłość zmuszała ją do tego — miłość z zaświatów, gdzie jeszcze błądziła dusza chorej.

Błądziła zaś całe trzynaście dni. Czternastego spostrzegł stanowczą poprawę. Gorączka opadła wieczorem do 39 stopni. Wprawdzie chora wycieńczona, nie odzyskała przytomności — ale oczy zdradzały najwyraźniejsze przebłyski świadomości. Wracała z zaświatów. Bystre spojrzenie szukało „Stacha" — wodziło za nim, chociaż nie zdawało sobie sprawy, że jego ma przed źrenicą. Ręce osłabione wyciągały się do niego, przy każdej okazji, skoro dostał się pod ich zasięg, a usta opowiadały o jakiemś dalekiem, nieznanem szczęściu, jeszcze majaczyła.

— Będzie żyła — nabrał Brutanek pewności. Zapewno jutro obudzi się z zupełną świadomością.

Wcześniej przecież odzyskała przytomność. Korzystając z jej spokojności, lekarz Brutanek sam jeden znajdujący się w pokoju — z ogromną ulgą, a zarazem bezwładnością opadł w fotel i poddał się dobroczynnemu snu. Zagubił czujność upewniony, że chora osłabiona tylodniową gorączką — po powrocie do normalnej temperatury — opadnie ze sił i nie będzie w stanie spowodować jakiejś katastrofy.

Nie spał jednak długo, zbudziło go coś niespodziewanego. Nie prędko jednak przyszło do tego. — Najpierw wdarł się do jego uszu jakiś szum, który przerodził się w dalekie wołania. Słyszał je przez sen, ale nie mógł przyjść do siebie. Kiedy wreszcie to nastąpiło, zrozumiał, że ktoś go wzywał po imieniu w drogiej, tak dobrze mu znanej tonacji.

— Stachu, mój ukochany Stachu — usłyszał najwyraźniej.

Po otwarciu oczu — pierwsze spojrzenie padło na łóżko chorej. Tam też odkrył źródło wołania. — Chora, wychudzona jak cień, siedziała na pościeli. Podtrzymując się rękoma, by nie opaść, patrzyła wyolbrzymionemi wycieńczeniem oczyma na ukochanego Stacha, śpiącego w fotelu. Zerwał się natychmiast by ją ułożyć. Wyciągnęła ramiona, objęła go nimi serdecznie i szeptała długo, a długo jedyną pieszczotę:

— Mój Stachu... mój Stachu...

Położył ją na pościeli.

Trzymając go za szyję, zasnęła pierwszy raz zdrowym snem.

Postępek ten stał się dostateczną zapłatą za wszystkie troski i cierpienia. Zbadał ją najdokładniej i przekonał się, że była uratowaną. Ukląkł obok łóżka i w długiej serdecznej modlitwie podziękował Bogu, następnie stanął i patrząc na chorą, złożył na jej oczach pocałunki.

Piętnastego dnia w całym zamku nie można było odszukać lekarza Brutanka. Zniknął bez śladu.

Zaraz z rana, pielęgniarki wchodzące do pokoju chorej uderzył dziwny brak. Spojrzawszy na fotel, znalazły przyczynę. Nie było lekarza Brutanka, który przez czternaście dni zrósł się z nim.

Pospieszyły donieść o tem hrabiemu. Nie dowierzając, podążył na miejsce. Chora spała spokojnym snem, a w fotelu zamiast Brutanka, rzuciła się w jego oczy kartka zapełniona nerwowem pismem.

Podniósł ją zaniepokojony i przeczytał.

„Córka pańska nie potrzebuje więcej mojej opieki, Wyzdrowienie jej jest pewne. Kurację może doprowadzić do końca lekarz Lassonyi, który ma większą wiarę i zaufanie, niż ja. Potrzebne wskazówki podaję na końcu, do których niech się zastosuje.

Chcąc panu hrabiemu oszczędzić przykrej konieczności wypełnienia groźby oddania mię w ręce policji, opuszczam zamek. Dr Brutanek".

(Ciąg dalszy nastąpi).

Przygody Jacusia Kopciucha.

Przed niedawnym czasem żył we wsi Kurzełapy wyrobnik, nazwiskiem Matus. Miał on syna jedynaka, Jacka, którego powszechnie przezywano Kopciuchem, podobno dlatego, że cały czas swego dzieciństwa nie myty i nie czesany nie bardzo z wyglądu podobny był do człowieka. Gdy nieco odrósł od ziemi i gdy potrafił już batóg w ręce utrzymać, dał go ojciec na służbę do pasienia gęsi do zamożnego gospodarza. Całą zimę przesiedział Jacuś w izbie na przypiecku, na wiosnę za to wyposażył go gospodarz stadem gęsi, których musiał pilnować.

Zdarzyło się pewnego razu, że tuż obok pastwiska, położonego przy gościńcu, w pobliżu zamku królewskiego, przejeżdżał król w powozie. Ponieważ droga zaczęła mu się dłużyć, postanowił wziąść książkę do ręki i czytać. Książki jednak w zamku zapomniał. A że zuchowaty Jacuś wyprawiał harce z kolegami na pastwisku przy gęsiach, przywołał go król do siebie, wysiadł z kolasy, pogłaskał go po głowie i zapytał go, czy wie drogę do zamku. Zarumieniony Jacuś, zakrył sobie oczy rękawem, a ochłonąwszy ze strachu, odpowiedział królowi, że drogę na zamek zna dokładnie, bo już tam był z ojcem. Król dobył

bilet z portfelu, skreślił na nim parę słów ołówkiem i wręczając go Jacusiowi, obiecał mu, że dostanie na cukierki i że on tymczasem gęsi mu przypilnuje. — Wziął do ręki batóg od Jacusia i usiadł na wierzbowym pniu. A że to było jesienią w czasie odlotu wędrownego ptactwa do ciepłych krajów, los zrządził, że prawie ciągnął w powietrzu ostry kąt dzikich gęsi z głośnem gęganiem. Gdy głos ich posłyszało pasące się stado, poczęło rozłazić się na wsze strony. Król powstał z pnia i okrążając gęsi, począł je spędzać do kupy, lecz co jedną grupkę przypędzi, druga już ucieka w szkodę. Król coraz szybszym krokiem zaczął za gęsiami uganiać, jednak nie potrafił ich już spędzić do kupy, aż wreszcie zmęczony i spocony — usiadł. Tymczasem gąsior porozumiewał się ze stadem, zagęgał głośno i całe stado wzbiło się w powietrze. Ale że gęś swojska ma lot ociężały, dlatego też i stado przeleciawszy kilka staj, osiadło w cudzym koniczu. Zmęczony jednak król już się za stadem nie ruszył i przeczekał aż do powrotu Jacusia. Ten powróciwszy, skoro nie zobaczył gęsi, zaczął głośno płakać, lecz uspokojony i wynagrodzony przez króla, popędził za gęsiami. Król wsiadając z powrotem do swej kolasy, odezwał się do woźnicy: „Wolę rządzić miljonami ludzi rozumnych, niż stadem głupich gęsi!...“

Gdy Jacuś podrósł, zamianował go gospodarz parobkiem.

Pewnego razu wybrał się gospodarz w niedzielę do kościoła. Jacuś doglądał gospodarstwa. Należy nadmienić, że gospodarz ów był nadzwyczaj skąpy. Skoro powrócił z kościoła po sumie, zapytał go Jacuś, co też tam ładnego ksiądz prawił na kazaniu. Gospodarz odpowiedział, że nic ciekawego nie powiedział, bo całe kazanie było tylko o postach i że ksiądz zapowiedział cały tydzień posty. Jacuś wysłuchał tego i powiedział: „ha, trudno, będziemy pościć, skoro ksiądz kazał“. Przepościł w rzeczywistości cały tydzień, chociaż w posty te nie uwierzył, ale w duchu planował, jak się odpłacić gospodarzowi pięknem za nadobne. W przyszłą niedzielę poszedł znowu Jacuś na sumę do kościoła, a gospodarz został w domu. Skoro powrócił z kościoła, zapytał go gospodarz, o czem dziś było kazanie. Na to odpowiedział Jacuś: Mówił ksiądz, że znowu cały ten tydzień święta i że nie należy nic robić. Domyślił się gospodarz, że te całotygodniowe święta, były następstwem całotygodniowego postu.

Pewnego razu przed świętami wyprawił gospodarz Jacusia z kupcami po towary do miasta. Na wozie zasiedli kupcy 6 rzędami. Z powrotem wyładowali wóz towarami i sami usadowili się na nim. Z góry i po równej drodze potrafiły konie wóz uciągnąć, ale gdy przyszło wyjechać do góry, nie mogły ciężaru uciągnąć. Jacuś zlazł z wozu, aby koniom ulżyć i namawiał też kupców, aby to samo uczynili. Gdy jednak otrzymał od nich odpowiedź, że oni zapłacili furmankę do góry, bo z góry to sam wóz zjedzie, wydrapał się z wozem z ciężką biedą na wierzch. Gdy już był na szczycie, odpiął konie od wozu, a gdy go kupcy pytali, na co to robi, odpowiedział im, że płacili furmankę do góry, to ich wyciągnął, a z góry pojadą za darmo. To mówiąc, pchnął wóz, który bez hamulca pędził w wielkim pędzie w dół, dopóki nie wpadł do rowu i nie roztrzaskał się.

Po tym jednakże wypadku wypędził gospodarz Jacusia ze służby i na tem owa powiastka się kończy.

Piotr Wenc.

Poradnik gospodarczy.

O pojeniu domowych zwierząt.

Żyjemy obecnie w gorącej porze roku i niebawem nadejdzie skwarne lato, podczas którego na pojenie bydła należy większą zwracać uwagę aniżeli zimą i mieć zawsze wody pod dostatkiem — w przeciwnym razie stają się zwierzęta słabe, trawienie nie odbywa się prawidłowo i rozmaite nawiedzają je choroby.

Przy zwykłych warunkach potrzebują zwierzęta dziennie, włącznie z wodą zawartą w paszy, mniej-więcej jedną dziesiątą wody znajdującej się w ich ciele. W paszy suchej jest wody mało, w zielonej natomiast bardzo dużo. Podług sprawozdania profesora dra Dammanna, wypija owca, po zjedzeniu dwóch funtów siana, nie więcej jak trzy funty wody. Natomiast, jeżeli zje tyle paszy zielonej ile w dwóch funtach siana zawartych jest substancyj suchych, mniej-więcej 8 funtów, to ma już tem samem 6 funtów wody w żołądku, a pomimo to ma czasem jeszcze pragnienie. Polega to na tem, że w czasie, gdy zwierzęta jedzą paszę zieloną, pragnienie ich jest większe aniżeli w czasie, gdy jedzą paszę suchą.

Wodę, zawartą w paszy, gromadzącej się w roślinie podczas jej rośnięcia i rozwoju, nazywamy wodą wegetacyjną. Tak ta woda, jak mianowicie ta, którą zwierzęta piją, służy na zaspokojenie pragnienia.

Zbyt wielka ilość wody wywiera u zwierząt szkodliwy wpływ na wyzyskanie paszy. Woda zmienia się w zanadto wielką ilość białka i nieużytkowana wychodzi z moczem z ciała, podczas kiedy mogła być spotrzebowaną na tworzenie się mięsa i tłuszczu, gdyby zwierzęta nie piły jej tyle. Pragnienia rosnących i tuczących się zwierząt nie należy zatem zwiększać dawaniem za wielkich porcyj soli, dzieje się to czasem w celu zwiększenia apetytu zwierząt, przeznaczonych do tuczu, ale nie należy zapominać, że tym sposobem nie wyzyskuje się dostatecznie paszy. Konie i woły, pracujące ciężko, nie powinny pić za wiele, pocą się bowiem łatwo i nie są wytrzymałe.

Wyżej wspomniana woda wegetacyjna nie wywiera tego szkodliwego wpływu. Profesor dr. Dammann twierdzi, że przeciętnie potrzebują owce na 1 funt suchej paszy 2 funty wody, konie 2 do 3 funtów, bydło 4 do 5, świnie zaś 7—8 funtów wody. Czy się daje wodę samą, czy, jak to zwykle świniom — daje się wodę zmieszaną z paszą, o to nie chodzi. — Podług więc obliczenia profesora Dammanna powinien koń przy suchej paszy wypić przeciętnie dziennie 40 do 70 funtów wody, bydło 60—100 funtów, a owce 3—6 funtów.

Przy paszy zielonej nie potrzeba dawać tyle wody, trzecia lub czwarta część wymienionej ilości wystarcza zupełnie.

Przy pojeniu dojnych krów należy postępować inaczej aniżeli przy pojeniu bydła młodocianego i tucznego. Wiadomo ogólnie, że krowy, pobudzone do picia wielkiej ilości wody, dużo dają mleka. Ale dla wytworzenia tej wielkiej ilości mleka potrzebują krowy też dużo białka, muszą więc dostawać paszę obfitą w białko. Jeżeli takiej paszy nie mają, a pomimo to wiele piją wody, to z powodu braku białka, koniecznego dla wytworzenia mleka, chudną i opadają na siłach. Odnosi się to mianowicie do krów dających dużo mleka.

W końcu nadmienić należy, że konie, przeznaczone do szybkiego biegu, mało wody pić powinny — należy je zwolna przyzwyczaić do tego, aby się mniejszemi zadowalały porcjami.

KRONIKA.

Od Administracji. Do dzisiejszego numeru „Roli" dołączamy czeki wszystkim kwartalnym i półrocznym Prenumeratorom naszym i prosimy, aby w wysyłce prenumeraty się nie ociągali i nie doznali przerwy w wysyłce „Roli". I w drugim półroczu „Rola" zadowoli w zupełności swoich odbiorców. Zebrany rocznik „Roli" będzie cenną wielką i grubą księgą z doborowym materjałem okraszonym setkami ilustracyj.

Zniżka oprocentowania wkładek oszczędności. Miejskie i powiatowe kasy oszczędności obniżają procent od wkładek oszczędnościowych na 7 od sta rocznie. Obniżka ta obowiązywać będzie od dnia 1 lipca b. r. Jeżeli następuje obniżka procentu od wkładek oszczędności, powinna też równocześnie nastąpić obniżka procentów od udzielonych pożyczek. Ale o tem jakoś nic nie słychać.

Zjazd cyganów. Na polach pod Przemyślem odbył się wielki zjazd cyganów z całej Polski. Obrady zjazdu toczyły się przez cały czas w języku cygańskim. Wieczorem w pierwszy dzień zjazdu odbyła się w obozie cygańskim przy świetle pochodni i rozpalonych ognisk wielka zabawa, którą zaszczycił swą obecnością sam król cyganów, Bazyli Kwiek. Na środku obozu rozpalono wielkie ognisko, dookoła którego zasiadła starszyzna cygańska z królem swym na czele. Najpiękniejsze cyganki i najdorodniejsi cyganie przy dźwiękach cygańskiej kapeli poczęli popisywać się wspaniałemi tańcami, godnemi tancerzy zawodowych. Zabawa, zakrapiana obficie miodem i winem, przeciągnęła się do późnej nocy. Na zabawie tej zjazd zakończono. Sam król pozostał jednak w obozie przez kilka dni, aby udzielać posłuchań swoim poddanym. Jeszcze dwa tygodnie przed zjazdem nadeszło do Przemyśla kilkanaście skrzyń, zawierających patelnie i garnki mosiężne. Bo trzeba wiedzieć, że jego królewska mość pan Kwiek posiada dwie fabryki: jedną w Poznaniu od kilku lat, w której zatrudnia 300 cyganów, drugą wybudował obecnie pod Warszawą. Głównym odbiorcą produktów Kwieka jest wojsko, które zakupuje u niego kotły. Pozatem wyrabia Kwiek w swych fabrykach także naczynia kuchenne, których rozsprzedażą trudnią się cyganie na terenie całej Polski. Przywieziony towar do Przemyśla rozdzielono pomiędzy cyganów do rozsprzedaży. Toteż przez cały czas zjazdu roiło się w Przemyślu od cyganek, sprzedających patelnie. Po przybyciu do Przemyśla polecił król Kwiek ogłosić poddanym, że cały towar daje im w prezencie. Wywołało to olbrzymią radość w całym obozie, towar bowiem przedstawia wartość kilku tysięcy złotych, co dla cyganów jest olbrzymim majątkiem.

Aresztowanie reżysera teatru lwowskiego. Na ulicach Lwowa ukazała się ulotka komunistyczna, na której między innymi byli podpisani niektórzy aktorzy teatru lwowskiego oraz reżyser tegoż teatru Leon Schiller. Władze zarządziły rewizje w mieszkaniach podpisanych na odezwie i u niektórych znalazły kompromitująco ich papiery. Wskutek tego zostali aresztowani: Leon Schiller, reżyser i aktorzy Damiecki i Wojdan Swojdziński. Po przesłuchaniu wszystkich jednak wypuszczono na wolność.

Trojaczki. W miejskim zakładzie położniczym w Warszawie powiła 25 letnia Stefanja Korczakowa, żona robotnika zakładów wojskowych, trzech chłopczyków. Są to pierwsze dzieci pani Korczakowej, która przed rokiem wyszła zamąż. Matka i dzieci czują się dobrze.

Straszna śmierć dziewczynki. Uboga wioska pod Żarkami w powiecie częstochowskim, Jaworznik, nawiedzona została strasznym w skutkach pożarem. Z niewykrytych przyczyn buchnęły nagle w nocy płomienie w chlewie, przyległym do domu gospodarza Władysława Gabrysia. Pożarowi sprzyjał wiatr, więc przeniósł się on z niezwykłą szybkością na sąsiednie budynki. Wszelki ratunek okazał się bezowocny. W okamgnieniu kilkanaście chałup stanęło w płomieniach. Spaliło się 13 domów mieszkalnych, tyleż stodół i chlewów oraz znaczna ilość inwentarza poszła z dymem. Nie obeszło się, niestety, i bez ofiar w ludziach. Dwuletnia córka Gabrysia, Janina, padła ofiarą pożaru tak, że wydobyto jej zwęglone zwłoki. Gabryś, jego żona, młodsze dziecko, oraz teść odnieśli ciężkie poparzenia. Wieś przedstawia sie po pożarze rozpaczliwie. Kilkadziesiąt osób pozbawionych zostało dachu nad głową.

Oblężenie bandyty. Posterunkowy Jan Stypuła udał się do Anielina pod Warszawą, aby przeprowadzić dochodzenia w sprawie kradzieży krowy. W czasie prowadzenia badań został on napadnięty znienacka przez opryszków i padł od ich kuli. Bandyci zakopali zamordowanego pod wozem. Wszczęte śledztwo wykazało, że mordercą był syn gospodarza anielińskiego, Złotkowski, Ukrył on się jednak w pewnej zagrodzie w pobliżu Anielina. Dowiedzieli się o tem policjanci i o godzinie 1 w nocy otoczyli ów dom, w którym przebywał morderca. Podczas próby wtargnięcia policji do domu bandyta zaczął się ostrzeliwać z karabinu własnego i zabranego zamordowanemu policjantowi. Policja również otworzyła ogień, który z obydwóch stron trwał do trzeciej rano. Nagle strzały, oddawane z domu, ucichły. Okazało się, że osaczony morderca, po wystrzeleniu wszystkich nabojów, ostatnią kulę wpakował sobie w mózg.

Najazd chłopów na las. Z Mińska Mazowieckiego donoszą: Znany wywrotowiec, Trębiński, namówił około 500 mieszkańców Kałuszyna oraz sąsiednich wsi do wtargnięcia do lasu, należącego do majątku Kałuszyn, ażeby niszczyć drzewo. Skoro zobaczył to gajowy Grzegorczyk zawiadomił policję, następnie uzbroiwszy się w rewolwer i strzelbę, udał się do napastników, wzywając ich, ażeby zaprzestali niszczenia drzew. W odpowiedzi na to Trębiński rzucił się na gajowego, ażeby go rozbroić. Gdy mu się to nie udało, chwycił drąg i zamierzył uderzyć nim gajowego, nawołując gromadę, ażeby mu pomogła. Gajowy w obronie własnego życia użył broni palnej, przyczem kula trafiła w brzuch Trębińskiego, który po paru minutach zmarł. Włościanie, zobaczywszy to, poczęli uciekać. Po chwili jednak z miasteczka nadciągnęła większa gromada i podążyła do lasu, kierując się w stronę leśniczówki. Tłum rzucił się na dom i począł wybijać szyby i demolować wnętrze. Gajowego jednak nie znaleziono, gdyż ukrył się w sąsiedniej leśniczówce. W chwili, gdy tłum demolował leśniczówkę, nadjechał oddział policji, otoczył awanturników i aresztował 37 osób. Aresztowanych zakuto w kajdany i pod silną eskortą odprowadzono do Mińska Mazowieckiego. Będą oni odpowiadać przed sądem za gwałt publiczny i będą mieć nauczkę, aby nie słuchać żadnych agitatorów, ale pędzić ich ze wsi na cztery wiatry.

Samobójstwo nauczyciela. W szkole powszechnej w Siemianowicach na Górnym Śląsku rozegrała się dotychczas niewyjaśniona tragedja. Oto nauczyciel tej

szkoły Stanisław Żbik, przybywszy do budynku szkolnego, poprosił jednego z kolegów, aby odebrał od niego pieniądze szkolne. Gdy to kolega ów uczynił i wystawił Żbikowi pokwitowanie, ten wydobył momentalnie rewolwer i strzelił sobie w pierś poniżej serca. Rannego nauczyciela w stanie beznadziejnym odwieziono do szpitala.

Śmiertelne uderzenie obcęgami. Przed kilku tygodniami doszło w Bydgoszczy do sprzeczki między Franciszkiem Szymańskim a jego 21-letnim synem Janem, w czasie której ojciec uderzył syna obcęgami w głowę. Początkowo uderzony nie zauważył żadnych skutków zadanego ciosu, ale po kilku dniach począł cierpieć na ból głowy. Ból ten powiększał się z każdym dniem tak, że wkońcu chory musiał się udać do szpitala. Tu z bolu owego wywiązało się zapalenie płuc, wskutek którego młodzieniec zakończył życie. Ponieważ lekarze orzekli, że pośrednim powodem śmierci Jana Szymańskiego było owo uderzenie go w głowę, przeto aresztowano jego ojca, który będzie oskarżony o synobójstwo.

Zabawna przygoda zazdrosnego męża. Pan Reinhold B. z Lenartowic pod Pleszewem w Wielkopolsce miał uroczą żonę, którą podejrzywał o zdradę małżeńska. Kiedy ta w jakimś interesie wyjechała do Jarocina, pan Reinhold był pewny, iż udała się na schadzkę z swym rzekomym kochankiem. Chcąc ją przyłapać na gorącym uczynku i wnieść skargę o rozwód, udał się za nią do Jarocina. Nie chcąc być przez nią poznany, przyprawił sobie brodę i pejsy i tak udał się na poszukiwania. Aby mieć namacalny dowód zdrady małżeńskiej swej połowicy, wstąpił do pewnego fotografa, kazał mu iść z sobą i robić zdjęcia, jakie mu poleci. Fotograf poznał natychmiast, że ma przed sobą ucharakteryzowanego człowieka. Przypuszczając, iż ma do czynienia z jakimś przebranym opryszkiem, pozornie zgodził się na towarzyszenie mu, a równocześnie zawiadomił policję. Ta przyaresztowała pana Reinholda, a wówczas cała sprawa się wyjaśniła, ale biedny małżonek dotychczas nie wie, czy połowica jego zdradza go, czy też jest niewinna.

Burza gradowa, jaka przeszła nad powiatem puławskim, wyrządziła olbrzymie szkody. Grad zniszczył tam 800 morgów zasiewów. Straty wynoszą około pół miljona złotych.

Katastrofalne skutki gradobicia. Powiat biłgorajski został dotknięty klęską gradobicia, które wyrządziło olbrzymie straty, sięgające pół miljona złotych. Setki morgów żyta zostały zniszczone do tego stopnia, że gospodarze mają zamiar przystąpić do zasiania na zniszczonych polach tatarki. Najbardziej zostały zniszczone pola wsi Zawadka. W miejscowości tej, jak się okazuje, klęskę spowodował nietylko grad, ale i oberwanie się chmury. O sile spływającej wody świadczy fakt przesunięcia w jednem miejscu stodoły o kilka metrów, a nadto na dużych przestrzeniach pól są widoczne niezmiernie głębokie wyrwy, wyżłobione przez gwałtowny odpływ mas wodnych. Powiat biłgorajski należy do najbiedniejszych w województwie lubelskiem.

Samochód pod kołami pociągu. Na linji kolejowej Lwów-Włodzimierz Wołyński na staeji Budlów wydarzyła się wstrząsająca katastrofa. Będący w ruchu pociąg najechał na przejeździe na usiłujący przed pociągiem przejechać samochód, którym jechał Leon Mietnicki z żoną Wierą z Łucka, oraz Walerjan Kuźmiński z kolonji Zygmuntówka. Samochód został doszczętnie rozbity, zaś wszystkie trzy osoby zostały ciężko ranne. Po zatrzymaniu pociągu udzielono rannym ofiarom katastrofy pierwszej pomocy, poczem przewieziono ich tym samym pociągiem do szpitala w Łucku.

Umierał i ożywał. W miasteczku Orla w powiecie bielskim wójt tamtejszy Augustowski udał się do pobliskiej rzeki, gdzie się wykąpał. Po powrocie do domu zrobiło się mu niedobrze. Wezwano lekarza, który po zbadaniu go orzekł, że jest zupełnie zdrów. Po odejściu lekarza stan Augustowskiego pogorszył się. Wezwano wówczas innego lekarza, który jednak zastał już trupa i stwierdził śmierć. Rodzina poczęła wobec tego czynić przygotowania do pogrzebu, lecz wówczas nieboszczyk podniósł się z łóżka i zaczął do zebranych przemawiać. Domownicy przestraszeni zbiegli, co znów tak podziałało na Augustowskiego, że dostał ataku sercowego i tym razem naprawdę umarł.

Rozstrzelanie szpiega-żołnierza. W Wilnie został rozstrzelany żołnież 3 dywizjonu konnej artylerji, Michał Litwinowicz, który przed dłuższy czas uprawiał szpiegostwo na rzecz bolszewików. W czynnościach tych pomagał mu młodszy brat Adam, ten jednak uciekł przed aresztowaniem go do Rosji.

Wesele córki cadyka. W Landwarowie pod Wilnem odbyła się niezwykła uroczystość. Oto córka rabina wychodzi zamąż. Na uroczystości weselne zaproszono 1.000 osób, dla których zarezerwowano 40 pokoi. Celem przygotowania uczty weselnej zawezwano kilkunastu kucharzy oraz kilkudziesięciu pomocników. Na sam ślub przybyło kilka tysięcy żydków nawet z najdalszych okolic Polski, a także z Litwy i Łotwy. Kareta, wioząca młodą parę do ślubu, zaprzężona była w cztery wspaniałe rumaki, a towarzyszyła jej banderja konna, złożona z samych żydków. Uroczystości weselne potrwają do dwóch tygodni. Jak wesele, to wesele, a potem płacz!

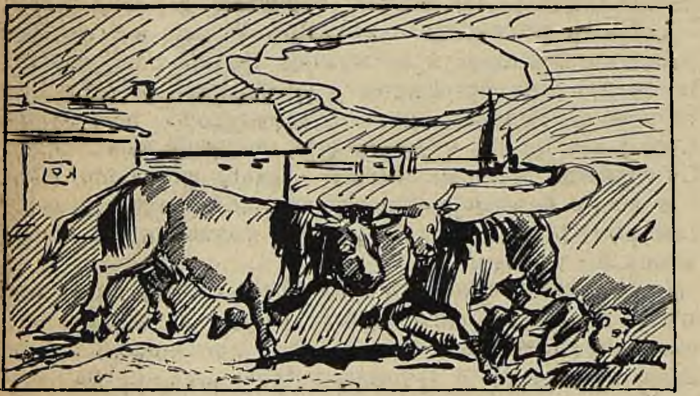
Sierp narzędziem zbrodni. W polu we wsi Kopacze na Wileńszczyźnie wynikła kłótnia pomiędzy 56 letnią Antoniną Syrokwacz, a jej siostrzenicą Zofją Lutwinówną. Podczas kłótni Syrokwaczowa pochwyciła sierp i z całej siły uderzyła ostrzem swoją siostrzenicę. Lutwinówna odniosła bardzo ciężkie obrażenie ciała i w stanie beznadziejnym przewieziona została do szpitala powiatowego. Syrokwaczową aresztowano i odstawiono do więzienia.

Ucieczka włościan z Rosji do Polski. Są jeszcze u nas tak głupi ludzie, którzy wierzą, iż w Rosji jest znacznie lepiej, niż w Polsce, lub w jakimkolwiek innym kraju na świecie. A tymczasem fakta przeczą temu stanowczo, a najlepszym dowodem tego jest to, że z tego „raju" uciekają ludzie masami, narażając się na wszystkie następstwa takiej ucieczki. Niemal codziennie nadchodzą wiadomości o takich ucieczkach. Jednym ona się udaje, inni giną od kul bolszewickich siepaczy. W ubiegłym tygodniu jedna z takich uciekających grup w liczbie 11 osób starała się przedostać do Polski koło Radoszkowic na Wileńszczyźnie. Gdy to zobaczyła straż graniczna bolszewicka, otworzyła ogień z karabinów maszynowych na biedaków, kładąc trupem ośm osób. Jedynie trzem osobom udało się ujść z tej krwawej masakry. Twierdzą oni, iż lepiej odrazu zginąć od kuli, aniżeli żyć dłużej w Rosji.

Tragedja na statku „Kościuszko". W czasie podróży statku polskiego „Kościuszko" do Gdyni, gdy statek znajdował się na morzu Północnem, jeden z pasażerów pierwszej klasy, jak twierdzą niektórzy, popełnił samobójstwo, rzucając się z pokładu statku do wody. Nieszczęśliwy nazywał się Franciszek Rybarski. Mimo natychmiastowej pomocy nie zdołano go uratować, ani też zwłok wyłowić. Niezwłocznie po przybyciu okrętu do Gdyni wszczęto śledztwo, gdyż pewne dane wskazują, iż Rybarski nie popełnił samobójstwa, ale stał się ofiarą zbrodni, dokonanej, jako akt zemsty ze strony przemytników alkoholu.

Cudowne ocalenie lotnika polskiego. Dnia 5 bm. wyruszył samolotem z Ameryki do Warszawy lotnik polski Stanisław Hazner, syn organisty z Jaślisk. Ponieważ w oznaczonym czasie nie przybył wcale do Europy, ani go też nigdzie nie zauważono w powietrzu, sądzono powszechnie, że śmiałek czyn swój przepłacił życiem. Na szczęście stało się inaczej Wprawdzie z powodu złych warunków atmosferycznych lot się nie udał i Hazner wraz z swym aparatem spadł do morza, ale nie utonął. Przez tydzień utrzymywał się na falach morskich, zgłoniały i spragniony, póki nie odnalazł go przepływający okręt i nie przywiózł do brzegu. Ocalenie to można nazwać wprost cudownem, gdyż w czasie tym, gdy Hazner znajdował się na morzu, panowała w pobliżu burza morska, a jedynie najbliższa okolica polskiego rozbitka była wolna od burzy, Pan Hazner zamierza swój lot z Ameryki do Polski ponowić w możliwie najbliższym czasie.

Wdzięczność zwierząt. W pewnej wiosce na Słowaczyźnie koło Preszowa miał miejsce wypadek, świadczący o niezwykłem przywiązaniu zwierzęcia do człowieka. Gospodarz tamtejszy, niejaki Lanos, wyhodował sobie dwuletniego byczka, którego bardzo polubił, bo też i byczek okazywał nadzwyczaj wielkie przywiązanie i wdzięczność dla swego pana. Gdy raz gospodarz ów był na polu sąsiada, buhaj z drugiej wsi rzucił się na niego, obalił na ziemię i depcąc racicami, połamał mu trzy żebra. Byłby go z pewnością zabił, ale szczęściem ujrzał to i usłyszał jęk swego pana byczek Lanosa.



Bez względu na to, że stary buhaj był od niego dwa razy większy, rzucił się na niego, pobódł rogami, przez to ściągnął na siebie złość rozwścieczonego byka, który porzuca Lanosa a zwraca rogi przeciwko nowemu nieprzyjacielowi. Wtem nadbiegł pies Lanosa i zaczął gryźć buhaja. I w ten sposób obydwa te poczciwe zwierzęta ocaliły swojego pana od niechybnej śmierci.

Rozwiązanie parlamentu rumuńskiego. Obydwie izby parlamentu rumuńskiego zostały rozwiązane. Wybory do izby deputowanych odbędą się 17 lipca, zaś do senatu 20, 24 i 26 lipca. Obydwie izby zostaną zwołane na nadzwyczajną sesję na dzień 30 lipca.

Wstrząsająca tragedja rodzinna. W miejscowości Rogen, w Siedmiogrodzie, bogaty mieszczanin, nazwiskiem Jerzy Kos, podzielił przed trzema laty cały swój majątek pomiędzy dwóch swoich synów i spędzał resztę żywota w swym domu, w którym zamieszkał również jego syn Oskar, utraciwszy z powodu kryzysu gospodarczego cały swój majątek. Drugi syn, Dr. Karol Kos, lekarz miejski, pragnął pozbyć się swego brata z domu i uzyskał nawet w tym względzie wyrok sądowy. Kiedy Dr. Karol przybył do mieszkania, Oskar wystrzelił do niego z rewolweru i położył go trupem na miejscu. Następnie Oskar zastrzelił żonę Karola i swoją siostrę. Po dokonaniu tych zbrodni morderca przeszukał cały dom z rewolwerem w ręku, chcąc zamordować siostrzenicę, tej jednak udało się uciec i zawiadomić żandarmerję. Kiedy żandarmi przybyli na miejsce zbrodni, zastali mordercę, znoszącego zwłoki zabitych na podwórze. W chwili, kiedy żandarmi chcieli go aresztować, morderca wystrzałem z rewolweru pozbawił się życia. Stary ojciec, który przypatrywał się tej scenie, dostał udaru serca i zmarł na miejscu.

Wstrząsający dramat na morzu. Na pokład greckiego parowca „Sapho" zakradł się 26 letni Jerzy Manakrowicz, ślepiec bezrobotny, Jugosłowianin, który pragnął dostać się do Oranu w Algierze, gdzie miał znajomego kupca. Manakrowicz ukrył się między pakunkami, załadowanemi na okręcie. Byłby może dojechał przez nikogo nie zauważony, gdyby nie głód. Już w drugim dniu podróży był narażony na straszne męczarnie, mimo to w obawie kary wstrzymał się jeszcze z wyjściem z kryjówki. Wytrzymał jeszcze 48 godzin, na dłuższą metę nie miał już siły. Zdecydował się więc na karę i wyszedł z ukrycia. To, co się jednak stało, przeszło jego największe obawy. Zjawienie się biedaka na pokładzie rozpętało furję gniewu wśród oficerów. Przedewszystkiem zbili go do nieprzytomności, a następnie z ust kapitana padł rozkaz: „W morze z nim! Utopić go!" W tej chwili pochwycili biedaka dwaj marynarze i wrzucili go w morze. W obawie, aby Manakrowicz nie uratował się, dopływając do brzegu, kapitan kazał obrócić sternikowi okręt dookoła osi, przez co spodziewał się, że wzburzone ruchem statku fale morskie pogrążą walczącego z prądem pod wodą. Byłoby się to stało, gdyby nie strażnik latarni morskiej, który ze swego stanowiska przypatrywał się tej bestjalskiej scenie. Zauważono go z okrętu, wskutek czego okręt szybko odpłynął, a strażnik spuścił łódź i pospieszył na pomoc tonącemu. Dzielny strażnik wyciągnął już nawpół żywego Manakrowicza z wody i odesłał go do szpitala, zaś przeciw nieludzkim oficerom okrętu „Sapho", wniósł skargę.

Kara Boża. Pod takim tytułem donoszą gazety codzienne o tem, iż okręt „Sapho", z którego tak bezlitośnie zrzucono nieszczęśliwego ślepca do morza, najechał skutkiem gęstej mgły na skałę i zatonął. Byłaby to rzeczywiście kara Boża, gdyby i bestjalska załoga zatonęła, tymczasem załogę w liczbie 25 osób zdołał wyratować parowiec portugalski, więc jej kara Boża nie dosięgła, a okręt, jako rzecz martwa, nic tu nie był winien.

Pojedynek na kije. W miejscowości Csendlod na Węgrzech odbył się pojedynek na kije między dwiema pannami. W wyniku tego pojedynku jedna poniosła śmierć, druga jest ciężko ranna. Powodem pojedynku była zazdrość o mężczyznę.

Wartość pięknej małżonki. John Place, właściciel sklepu z owocami i jarzynami w Cambridge w Anglji wytoczył miejscowemu dentyście proces, żądając od niego 500 funtów szterlingów odszkodowania za zabranie mu żony. Żona pana Place, kobieta niezwykłej urody, oświadczyła pewnego dnia mężowi, że kocha dentystę i przeprowadziła się do niego. Sędzia, Cardie, zwany najbardziej postępowym sędzią w Anglji, uniewinnił dentystę, twierdząc, że tak kobieta, jak i mężczyzna ma prawo wyboru swego szczęścia. A jeżeli pani Place uważała, że będzie szczęśliwsza z dentystą, niż z dotychczasowym swym mężem, to wolno jej to było uczynić dla własnego szczęścia. Karanie człowieka za zdradę małżeńską byłoby powrotem do średniowiecza. Pan Place jednak zaapelował do sądu wyższego, gdzie mu przyznano odszkodowanie w żądanej wysokości, ale tymczasem pani Place z swym dentystą uciekli już do Afryki, wobec czego pan Place nie będzie miał ani żony, ani pieniędzy.

RZECZY CIEKAWE.

Ryby polskiego morza.

Do najliczniej występujących w morzu Bałtyckiem ryb zaliczyć możemy: szprota czyli sielawkę, wątłusza pomuchła, śledzia, flądrę, łososia, sieję i węgorza.

Z flader najczęściej się tu poławia flåderka, charakterystyczna szorstkiemi, ciernistemi brodawkami na powierzchni ciała, czem się różni na pierwszy rzut oka od swej krewniaczki u nas rzadziej występującej flądry, która tylko w dorosłych okazach u nas się trafia. Flåderka, dorastająca u nas do 30 cm. długości, poławianą bywa często z innemi płastugami, z których jedne, jak limanda, ze względu na wyjątkowo szybkie psucie się jej mięsa, zresztą niezbyt smacznego, nie przedstawiają wartości handlowej, gdy inne, jak skarp turbot, dochodzący na zachodzie do 2 m. długości, u nas zaś poławiany w okazach długości 35 cm. (łatwy do rozpoznania po oczach osadzonych na lewej stronie ciała), są bardzo poszukiwane.

Pomijając pomuchła, obficie u nas poławianego i znacznie rzadszych jego pobratymców, podkreślić należy u nas, jako specjalność, głównie zatoki Puckiej, obecność sieji brzany,, łososiowatej ryby do pół metra długości. Ryba ta w zachodnim Bałtyku wcale się nie pojawia, a ze względu na swoje tajemnice bytowania w naszych wodach, jest interesującym tematem przyszłych badań naukowwych.

Z innych ryb typowo morskich, poławianych u nas dość często, a posiadających małe, lub żadne znaczenie gospodarcze, są: potworkowaty kształtem zając morski, u nas nie jadany, gdy na Helgolandzie uważają go za przedni przysmak, dalej węgorzyca. Do szkodliwych ryb należy cała grupa głowaczy, które odznaczają się groźnem warczeniem przy wyjęciu z wody wskutek odpowiedniego kurczenia się przednich mięśni tułowia przy równoczesnem rozchylaniu pokryw skrzelowych.

Rybkę tobiaszową używają rybacy na przynętę do wędek dla połowiu łososi, ciernika morskiego, trafia się w rejonach, porosłych trawą morską i klonami.

Ogółem jest w Bałtyku 109 gatunków ryb, wliczając poza temi, któreśmy już wymienili wszystkie słodkowodne, jak np. szczupaki, karasie, karpie, okonie itd. Czysto morskich ryb mamy w Bałtyku 36 — z tego użytkowych tylko kilkanaście.

Derwisze.

Derwiszami nazywają się mahometańscy duchowni. Dosłownie derwisz znaczy tyle, co biedak. Derwisze tworzą zakony na wzór chrześcijańskich i buddyjskich. Jest ich obecnie kilkadziesiąt, a najważniejsze z nich są: Kadirzy, Rifaci, Bairamici, Mewlewici, Chalwetowie i Senussowie. Derwisze mieszkają po części wspólnie po klasztorach, przeważnie jednak są rzemieślnikami, kramarzami i rolnikami, którzy tylko wśród szczególnych okoliczności dają wyraz swej przynależności do zakonu. Wspólne im wszystkim są: ćwiczenia w żarliwej pobożności i podporządkowanie członków przełożonemu. Pod wybujałą pobożnością, która zwłaszcza w Indjach prowadzi do niezwykłych ćwiczeń pokutnych, kryje się często obłuda, a niektóre klasztory utrzymują się głównie z kuglarstwa.

Reguły zakonne religijne polegają głównie na ascetycznych samoudręczeniach i tańcach. Derwisz w zapale religijnym potrafi tańczyć godzinami, a tańczy tak długo, póki nie padnie omdlały na ziemię. Oprócz tańca uprawiają także biczowanie się. Biczują się sami, albo też w pochodzie jeden derwisz drugiego smaga biczem po ciele, po którem krew spływa strumieniami. Do częstych zajęć derwisza na-



leży też modlitwa z podniesionymi rękami do góry. Właściwie nie jest to modlitwa w całem tego słowa znaczeniu, ale jakieś zapamiętanie się, jakieś znieczulenie swojej istoty. Wpatrzony derwisz w niebo z podniesionemi rękami do góry siedzi, jakby jakiś martwy posąg, nie zważając na palące promienie słońca i na różne owady, które mu nieraz dokuczają. Takiego derwisza arabskiego widzimy na naszym obrazku.

Wielu książąt mahometańskich i sułtanów tureckich odnosiło się do derwiszów z największą czcią i obdarowywało hojnie ich klasztory. Także i dzisiaj cieszą się derwisze wielkiem poważaniem u ludów mahometańskich, a często wywierają też duży wpływ na politykę.

Rdzewiejąca rzeka.

Rzeka Ob na Syberji ma tę własność, że w czasie zimy woda jej staje się trującą, bo zawiera tyle żelaza, że lód z pod spodu rdzewieje. Ludność nie pije tej wody — nawet ryby uciekają od niej do oceanu. Dopiero wiosną wracają całemi masami, tak, że fale wyrzucają je na brzeg.

Najcięższy metal na świecie.

Nie trzeba już teraz mówić „ciężki jak ołów", lecz „ciężki jak osm". Nie trzeba być staroświeckim.

Jeżeli gospodyni przygotuje ci jakąś ciężką niestrawną potrawę, która utknie ci w żołądku, powiedz jej, że naprzykład kluski lekkie były jak osm, a potem spal słownik. Ulży ci to niewątpliwie, a ona nigdy się nie dowie, jaki jej powiedziałeś komplement.

Osm jest najcięższą substancją na świecie. Jest on mianowicie dwa razy cięższy od ołowiu, prawie trzy razy — od żelaza; prawie dziewięć razy — od aluminjum i 22 razy i pół raza wody. Jego ciężar właściwy wyraża się cyfrą 2248. Jednem słowem metr kubiczny osmu ważyłby więcej niż 23 tony.

Dziwna ta substancja, posiadająca fizyczne właściwości metaliczne, zaś pod wieloma chemicznemi względami dziwnie niepodobna do metalu, ma niebieskawy kolor i daje kryształy twardsze niż szkło.

Osm został odkryty w roku 1804 przez Tennanta, który w tymże roku zgłosił się do Royal Society (Towarzystwo Królewskie) z referatem o dwóch metalach osmie i frydzie. Osm odznacza się jeszcze tem, że zaraz po tungstenie i tantalu, jest najmniej topliwym i prawdopodobnie najmniej lotnym z metali.

W postaci dużych kawałków nie rozpuszcza się ani w żadnym kwasie, ani w wodzie królewskiej. — Nazwa jego wywodzi się od przejmującego zapachu kwasu tego metalu, jaki się wywiązuje przy utlenianiu go przy bardzo wysokiej temperaturze, w stanie rozproszkowania.

Osm należy do grupy metali spotykanych prawie zawsze razem z platyną. Grupa ta nosi nazwę metali platynowych i obejmuje oprócz platyny pallad, osm, iryd, rod i ruten.

Osmu używano niegdyś do fabrykacji włókien, do lamp elektrycznych, ale wkrótce zarzucono z powodu wysokiej ceny i ograniczonej ilości. Metal ten znajduje się w górach Uralskich i w Brazylji.

ODPOWIEDZI REDAKCJI.

Pp.: **Stanisław Migała** w N.: Sąsiad Pański niech się zwróci po węzę sztuczną do p. E. Radomskiego w Klewaniu 2, gdyż węza, przez niego wyrabiana, jest najlepsza ze wszystkich, jakie dotychczas miałem, a przytem tańsza niż u innych. **Józef Andrzej Frasik** w P.: Z nadesłanych wierszyków w miarę miejsca skorzystamy. **Władysław Koszela** w Ch.: Nadesłane wierszyki zachowujemy do druku. **Jan Fudali** w M.: Smutna historja o Janku z nad Raby nie nadaje się do druku, gdyż brak w niej literackiego opracowania. **Stanisław Jucha** w K.: Nadesłane wierszyki przeznaczamy do druku, o ile więc miejsce pozwoli, to je zamieścimy. **Kazimierz Mirowski** w N.: Oczywiście p. Władysław Kiepura wiele traci na sympatji rodaków, nazywając się Ladis. Jakoś to brzmi niesamowicie i nieprzyjemnie. Lepiejby było, aby zachował imię, jakie dano mu na chrzcie świętym, a nie paskudził go przekręceniami. **Jan Stypa** w N.: Najpoczytniejszym dziennikiem z dzienników krakowskich jest „Ilustrowany Kurjer Codzienny". Dość dużą liczbę prenumeratorów ma również „Nowy Dziennik" żydowski, inne wiodą suchotniczy żywot. **Karolina Jurgowska** w M.: Wyrażenie „drzewiej" nie jest złe. Jest to wyrażenie staropolskie, a znaczy tyle, co „dawniej". **Franciszek Wojnar** w Z.: Sposobu na wygubienie brodawek u krów nie znamy. Trzeba zasięgnąć porady u weterynarza, ale zamiast płacić za każdorazową poradę, lepiej kupić książkę, która była ogłaszana w „Roli" p. t. „Zwierzę domowe w stanie zdrowia i choroby". Nabyć można u p. Stawarza, Poznań, Rzeczypospolitej 4. Książka ta to poradnik we wszystkich wypadkach choroby zwierząt domowych. Często płaci się za doradę różnym znachorom, którzy źle radząc, na wielkie straty tylko narażają, a książka taka, jedna w gminie, może nieocenione usługi oddać. Kosztuje 25 zł., zawiera 460 stron druku z ilustracjami. **Jan Gaweł** w W. Z.: Za uznanie dla „Roli" dziękujemy, jak również za zjednanych prenumeratorów. „Podróż po dalekich krajach" dalej będziemy drukowali z pięknemi ilustracjami.

Zagadki do nagrody.

1. Logogryf.

(Ułożył Tedeusz Frączek z R.).

■	☆	☆	☆	☆	☆	☆	☆	☆	Imię męskie.
☆	■	☆	☆	☆	☆	☆	☆	☆	Igrzyska.
☆	■	☆	☆	☆	☆	☆	☆	☆	Nieboskłon.
☆	☆	■	☆	☆	☆	☆	☆	☆	Imię męskie.
☆	☆	■	☆	☆	☆	☆	☆	☆	Taniec.
☆	☆	☆	■	☆	☆	☆	☆	☆	Religijny wsp.
☆	☆	☆	■	☆	☆	☆	☆	☆	Rywal wspak
☆	☆	☆	☆	■	☆	☆	☆	☆	Kraj w Ameryce.
☆	☆	☆	☆	☆	■	☆	☆	☆	Naczelnik wspak.
☆	☆	☆	☆	☆	■	☆	☆	☆	Imię męskie.
☆	☆	☆	☆	☆	☆	■	☆	☆	Imię żeńskie.
☆	☆	☆	☆	☆	☆	■	☆	☆	Zawiadomienie.
☆	☆	☆	☆	☆	☆	☆	■	☆	Imię męskie.
☆	☆	☆	☆	☆	☆	☆	■	☆	Sługa dwors. wsp.
☆	☆	☆	☆	☆	☆	☆	☆	■	Przedmiot nauk.

Litery zamiast kwadracików dadzą autorkę polską.

2. Szarady.

I

(Ułożył Jędrzej Czarnik).

Trzecie i pierwsze zwierzątko domowe,
Zaś samo pierwsze przecz nie gotowe,
Drugie, trzecie i czwarte mieszkanie ludzi,
Całość w tym czasie obawy budzi.

II.

(Ułożył Rudolf Grzegorz).

Pierwsze wspak drugie i trzecie
To litery w alfabecie,
Drugie trzecie pół czwartego
Imię rodzaju męskiego,
Piąte z czwartem w połączeniu
Mamy przecie na każdym dniu.
Całość imię „babie" dane
U nas rzadko używane.

III.

(Ułożył W. Łukasik).

Pierwsze drugie — zagadkę czytelnicy,
Drugie rozsyłali z czwartem przodki nasze,
Kiedy wróg napadał na dziedziny lasze,
Pierwsze z pierwszą trzeciej, w nim wesołe chwile,
Gdy już kwiaty kwitną, słońce świeci mile,
Trzecie wstecz mówimy w boleści, zdziwieniu.
Całość zaś polecam twemu wykształceniu:
Tam grzmiały armaty i wódz legł zraniony,
Jak się zowią, bracie, te pamiętne strony.

3. Konikówka.

(Ułożył Jan Liwosz z S.).

sobą	dla	ków	pież	wie
pta	dra	czło	lwa	skrzy
dla	nad	Czem	ka	ców
dla	dla	pano	dła	są
wanie	tem	zęby	oczy	jest

Za dobre rozwiązanie powyższych zagadek przeznaczamy dwie książki do rozlosowania.

Termin nadsyłania rozwiązań upływa d. 1 lipca br.

Znaczenie zagadek z Nru 24 „Roli": 1. Konikówka: Kwiecień, plecień, wciąż przeplata, trochę zimy, trochę lata. 2. Szarady: I. Kultywator, II. Dąbrówka. 3. Zagadki: I. Krak-kark, II. Sól-los. 4. Układanki: I. Monogram, II. Kryminalista, III. Karjera, IV. Ilustracja. 5. Bilet wizytowy: Naczelnik stacji.

Dobre rozwiązania w oznaczonym czasie nadesłali pp.: Antonina Świechowska z W., Teofil Burman z K., Wojciech Buraczek z G.

Nagrody wylosowali pp.: Antonina Świechowska z W. i Wojciech Buraczek z G.

Wydawca: Feliks Kowalczyk. Odpowiedzialny redaktor: Antoni St. Bassara.
W drukarni „Czasu" w Krakowie pod zarządem Leopolda Wójcika.

Giełda płodów rolniczych

z dnia 21 czerwca b. r.

Pszenica	28'00—28'50	Słoma długa	8'50—9'00
Żyto .	26'25—26'50	Ziemniaki stoł.	4'50—5'00
Owies . .	24'50—25'00	Koniczyna nasienn. czer.	000'00—000'00
Jęczmień .	21'00—21'50		
Fasola biała	24'00—26'00	Mąka żytnia	43'50—44'00
Groch zwyk.	26'00—28'00	Mąka pszen.	46'50—47'00
Siano słodk.	13'00—14'50	Otręby pszen.	12'00—12'50
Łubin żółty	18'00—18'50	Otręby żytnie	12'50—13'00
Koniczpastew.	15'00—17'00	Mąka czerw.	16'50—17'00

Ceny rozumieją się za towar średniej handl. jakości za 100 kg

Kobiecy rachunek.

— Co pani opowiada, że ma tylko 22 lata?

— Dobrze rachuję, panie komisarzu. Pyta pan o lata, a przecież lato nie trwa cały rok, to odliczyłam zimy.



Pytanie i odpowiedź.

— Czemu na świecie tyle dziś nędzy,
I tylu ludzi w przytułkach gości?
— Bo litościwy nie ma pieniędzy,
A ten bogaty nie ma litości.

Kazanie o kłamstwie.

„Drodzy parafjanie — przemówił pewien pastor z ambony — chciałem wam dziś powiedzieć kazanie o brzydkim a powszechnym grzechu kłamstwa i dlatego prosiłem was przed tygodniem, abyście przeczytali sobie siedmnasty rozdział ewangelji św. Marka. Proszę, niech wszyscy ci podniosą rękę, którzy rozdział siedmnasty czytali!" — Wszyscy podnieśli ręce.

„Dziękuję — mówił pastor dalej — muszę jednak wyjaśnić, że ewangelja św. Marka ma tylko szesnaście rozdziałów".



Troskliwa żona.

Małżonek wstaje rano i zaczyna gwałtownie kaszleć.

Żoneczka prosi go, aby pozostał w domu.

Mąż zostaje. Po południu zjawia się żona i oświadcza tajemniczym głosem:

— Byłam bardzo o ciebie mężusiu, niespokojna i dlatego też poprosiłam pewnego pana, aby cię odwiedził.

— Ah! Mówisz o lekarzu, żonusiu.

— Broń Boże! Wezwałam tylko agenta ubezpieczeń na życie!